

# Kuratela



HONORÉ DE BALZAC

KOMEDIA LUDZKA

## *Kuratela*

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

### OD TŁUMACZA<sup>1</sup>

Drobniejsze opowiadania Balzaka są dla wiernych czytelników *Komedii ludzkiej* bardzo cenne. Tworzą one niby wiązania między członami tego olbrzymiego cyklu. Niejedna postać, naznaczana epizodycznie w której z wielkich powieści, zyskuje w mniejszym utworze i swoją monografię, np. ów sędzia Popinot, tak dobrze znany czytelnikom *Cezara Biroteau*, a którego odnajdą w *Kurateli*. Figury Balzaka żyją tak pełnym życiem, że wydają się nam niemal rzeczywiste; toteż wszystko, co przynosi nowe oświetlenie ich postępów i pobudek, chłonimy tak, jakbyśmy się dowiedzieli rewelacyjnej tajemnicy o bliskich znajomych. I tak, bohaterka pierwszego z tych opowiadań, pani d'Espard, występuje w wielu powieściach Balzaka, zawsze na dalszym planie. Znamy tę wielką damę, zręczną, zimną, wyrachowaną, złą, lawirującą w paryskim świecie i dokazującą cudów ekwilibristyki, aby w dość trudnym położeniu utrzymać swoje stanowisko. Słyszeliśmy nieraz o jakiejś kompromitującej historii w jej życiu, o jakimś procesie z mężem, który skończył się jej zawstyżeniem, ale nie znaliśmy bliżej szczegółów sprawy. Tutaj dowiadujemy się wszystkiego, poznajemy niezaszczytne sekrety tej świetnej egzystencji.

Zarazem, w takich pomniejszych opowiadaniach znajdujemy nieraz cenny komentarz do idei Balzaka. Oryginalna figura margrabiego d'Espard jest ilustracją jego socjalnych poglądów. Widzimy, że jeżeli Balzac, ten pisarz tak *antydemokratyczny* w swoich doktrynach, rad by oprzeć ustrój społeczny na przywileju wybranych, stawia bądź co bądź tym uprzywilejowanym wysokie żądania moralne. I to spotkanie się dwóch nieskazitelnych ludzi, plebejusza i arystokraty, wielkiego pana i sędziego, ma swoją wymowę.

*Kuratela* jest jednym z nielicznych opowiadań Balzaka, gdzie zacni ludzie są w większości. Zazwyczaj w jego powieściach więcej jest cieni niż światła; przewaga jest po stronie łajdaków. Można też powiedzieć, że ciemne figury u Balzaka mają nieskończenie więcej plastyki, wżerają się w pamięć, gdy jego postacie dodatnie — nieraz przeszlachtnione — zanadto trącą abstrakcją. Ale to jest dość powszechny los pisarzy. Zauważono, że sam Dante, niezrównany malarz piekła, załamał się na niebie...

Mimo to, Balzac bardzo był czuły na zarzuty, jakie mu robiono, że umie malować tylko zepsucie i zbrodnię. Mamy ciekawy dokument w tej mierze, mianowicie przedmowę jego do drugiego wydania *Ojca Goriot*. Balzac rozprawia się tam ironicznie z pretensjami do niego, że przeczerńa kobiety, że nie dość oddaje hołdu cnocie. Drwi z obłudy, oburzającej się, gdy powieściopisarz maluje to, co widzi dokoła. Ale Balzac nie poprzestaje na tym: podejmuje w owej przedmowie dość zabawny arytmetyczny dowód, że „cnota” — nawet ilościowo — przeważa u niego występki.

Otóż, kryteria, jakie przyjmuje dla określenia cnoty, są bardzo charakterystyczne. Nieraz w ostatnich czasach — w dobie dzisiejszego rewizjonizmu obyczajowego — czyniono uwagę, jak bardzo, pod wpływem *antyfizycznej* koncepcji życia, wyrodziło się znaczenie „cnoty”. Szczególnie w zastosowaniu do kobiety, *cnota*, *moralność* stały się wręcz

<sup>1</sup>Od tłumacza — wstęp tłumacza odnosi się do całego zbioru opowiadań, który otwiera *Kuratela*, a obejmującego również następujące tytuły: *Facino Cane*, *Sarrasine*, *Piotr Grassou*, *Z. Marcas*, *Granatka*, *Poronienie*. [przypis edytorski]

synonimem wstrzemięźliwości płciowej. Kobieta może być zbiorem wszystkich przywar i grzechów; jeżeli uparcie odmawia swego ciała lub też nie ma sposobności go używać, jest *cnotliwa*. Balzac w swojej argumentacji potwierdza ten przesąd. Robi kreskę przez całą stronicę, po czym po jednej stronie wylicza typy kobiet *cnotliwych*, po drugiej kobiet *występnych*. Do *cnotliwych* zalicza i hrabinę Fedorę z *Jaszczura*, i ową panią Chabert, która tak nikczemnie postąpiła z pierwszym mężem, i nawet „mamę Vauquer”, właścicielkę pensjonatu z *Ojca Goriot*, która cuchnie wszelką zbrodnią! Przy tej jednak Balzac uważał za potrzebne zrobić ten paradny odsyłacz: „Ta jest wątpliwa”...

Nie wszystkie opowiadania tego zbioru wiążą się tak ściśle z *Komedią ludzką* jak *Kuratela*. Niektóre, jak *Facino Cane*, jak *Sarrasine*, nie łączą się z nią właściwie wcale; pochodzą z wczesnej epoki, kiedy jeszcze idea *Komedii ludzkiej* nie kiełkowała w głowie Balzaka i kiedy romantyczna wyobraźnia młodego pisarza włóczyła się po świecie, gromadząc osobliwe egzemplarze namiętności ludzkich. Później dopiero wpadnie on na tę jakże płodną myśl, aby ścieścić i pogłębić teren obserwacji.

Godne uwagi wreszcie jest ostatnie opowiadanie pt. *Poronienie*, dziś, w dobie walk przeciw morderczym paragrafom, szczególnie aktualne. Opowiadanie to pojawiło się pierwszy raz w zbiorze *Contes bruns* (1832), pióra kilku młodych autorów, wydanym bezimiennie i sygnowanym — zamiast nazwiska — ryciną „przewróconej głowy”. Ze zbioru tego, stanowiącego dziś rzadkość bibliograficzną, wyłowił niestrudzony balzakista, Marcel Bouteron, to co w nim było pióra autora *Komedii ludzkiej* i wydał na nowo w r. 1927. Tak więc, dla miłośników Balzaka, nowy ten tom przynosi niejedno, co ich szczególnie zainteresuje. Dla innych, po prostu — pyszną książkę do czytania.

Warszawa, październik 1931.

## KURATELA

W r. 1828, około pierwszej w nocy, dwie osoby wychodziły z pałacu położonego przy ulicy *du Faubourg-Saint-Honoré* niedaleko Elyzeum: jedną z nich był sławny lekarz, Horacy Bianchon, drugą jeden z najmłodniejszych elegantów paryskich, baron de Rastignac, dwaj starzy przyjaciele<sup>2</sup>. Obaj odesłali powozy, nie było zaś w okolicy żadnej dorożki; ale noc była ładna, a bruk suchy.

— Chodźmy pieszo aż do bulwarów — rzekł Eugeniusz de Rastignac do Bianchona — weźmiesz powóz pod klubem, stoją tam do rana. Odwiedzisz mnie.

— Doskonale.

— No i cóż, mój drogi, co powiadasz?

— O tej kobiecie? — odparł zimno doktor.

— Poznaję mego Bianchona — wykrzyknął Rastignac.

— No, co takiego?

— Ależ ty mówisz, mój drogi, o margrabinie d'Espard jak o chorej ze swojego szpitala.

— Chcesz wiedzieć, co ja myślę, Geniu? Jeśli porzucisz panią de Nucingen dla tej margrabiny, zamienisz konia z jednym okiem na ślepego.

— Pani de Nucingen ma trzydzieści sześć lat, mój drogi.

— A ta ma trzydzieści trzy — odparł żywo doktor.

— Jej najzaciętsze nieprzyjaciółki dają jej dwadzieścia sześć.

— Mój kochany, kiedy zależy ci na tym, aby wiedzieć, ile kobieta ma lat, patrz na skronie i na koniec nosa. Co bądź by wyprawiły kobiety z kosmetykami, nie zdołają przekupić tych nieubłagalnych świadków ich wzruszeń. Kiedy skronie stają się miękkie, prążkowane, przywiedle w pewien charakterystyczny sposób; kiedy na końcu nosa znajdują się owe drobne punkciki, podobne do niedostrzegalnych czarnych pyłków sypiących się w Londynie z kominów, w których pali się węglem! sługa uniżony, dama przekroczyła trzydziestkę. Będzie piękna, będzie dowcipna, będzie wszystko co zechcesz, ale minęła trzydziestkę, wkracza w okres dojrzałości. Nie ganię tych, którzy się przywiązują do kobiet w tej fazie; ale człowiek tak niepospolity jak ty nie powinien brać lutowej renety za świeże jabłuszko, które uśmiecha się z gałęzi i zaprasza, aby je ukąsić. Miłość nie radzi się

<sup>2</sup>Horacy Bianchon (...) baron de Rastignac — [patrz:] *Ojciec Goriot*. [przypis tłumacza]

metryki; nikt nie kocha kobiety dlatego, że ma tyle a tyle lat, że jest ładna lub brzydka, głupia lub sprytna; kocha się, bo się kocha.

— Otóż ja się kocham dla innych przyczyn. Jest margrabiną d'Espard, jest z domu Blamont-Chauvry, jest modna, ma duszę, ma nóżkę nie brzydszą od księżnej de Berri, ma może sto tysięcy franków renty i wreszcie może się z nią kiedyś ożenić! Słowem, stworzy mi pozycję, w której zdołam może spłacić swoje długi.

— Myślałem, że jesteś bogaty — wtrącił Bianchon.

— Ba! mam dwadzieścia tysięcy franków renty, właśnie tyle ile trzeba na utrzymanie stajni. Wykiwali mnie, mój drogi, w aferze Nucingena, opowiem ci to kiedyś<sup>3</sup>. Wydałem za mąż siostry, oto najczystszy zysk z tego, co zarobiłem od czasu, jakżeśmy się widzieli ostatni raz; wołę wiedzieć, że one mają zapewniony los, niż mieć sto tysięcy franków renty. A teraz, cóż chcesz, abym poczał? Mam ambicję. Dokąd mnie może zaprowadzić pani de Nucingen? Jeszcze rok, a będę zaprotokółowany, zadomowiony, jak człowiek żonaty. Mam wszystkie przykrości małżeństwa i wszystkie niewygody kawalerstwa, bez korzyści jednego i drugiego; położenie fałszywe, do którego dochodzą ci, którzy się za długo trzymają jednej spódnicy.

— Et, i wydaje ci się, że tutaj znalazłeś rajskiego ptaka — rzekł Bianchon. — Twoja margrabina, mój drogi, zupełnie mi się nie podoba.

— Twoje liberalne przekonania mącą ci wzrok. Gdyby pani d'Espard była panią Ra-bourdin...

— Słuchaj, mój drogi: czy by była szlachcianką czy mieszczką, zawsze byłaby bez duszy, zawsze byłaby najdoskonalszym typem egoizmu. Wierz mi, lekarze przywykli sądzić sprawy i ludzi; najzdolniejsi z nas spowiadają duszę, spowiadając ciało. Mimo tego ładnego buduaru, w którym spędziliśmy wieczór, mimo zbytku tego pałacu, możebne jest, że pani margrabina siedzi w długach.

— Z czego wnosisz?

— Nie twierdzę, przypuszczam. Mówiła o swojej duszy tak jak nieboszczyk Ludwik XVIII mówił o swoim sercu. Słuchaj mnie! Ta kobieta wątła, biała, jasnowłosa, która się skarży, aby jej żalować, posiada zdrowie żelazne, wilczy apetyt, siłę i podłość tygrysa. Nigdy gaza, jedwab i muślin zręczniejsze nie drapowały kłamstwa! *Ecco*<sup>4</sup>.

— Przerażasz mnie, Bianchon! zatem nauczyłeś się tak wiele od czasu naszego mieszkania u mamy Vauquer?

— Tak, od tego czasu, mój drogi, widziałem, och, ileż widziałem marionetek, lalek i pajaców! Znam trochę obyczaje tych pięknych pań, których pielęgnujemy ciało i to co mają najdroższego, ich dziecko (o ile je kochają) lub ich twarz, którą ubóstwiają zawsze. Spędzasz noce przy ich łóżku, zadajesz sobie nieskończone trudy, aby im oszczędzać najmniejszej skazy, mniejsza o to gdzie; udało ci się to, dochowujesz im tajemnicy jak grób, proszą cię o rachunek i znajdują, że to straszliwie drogo. Kto je ocalił? Natura! Zamiast cię popierać, obmawiają cię, bojąc się, abyś nie został lekarzem której z ich przyjaciółek. Mój drogi, te kobiety, o których wy mówicie: „To anioł!”, ja je widziałem rozbrane z minek, pod którymi kryją swą duszę, jak i ze szmatek, pod którymi skrywają swoje niedostatki; bez manier i bez sznurówki: — nie są piękne. Zaczęliśmy od tego, żeśmy widzieli wiele żwiru, wiele paskudztw pod fałą światła, kiedyśmy osiedli na skale u mamy Vauquer; to coś tam widzieli, to jeszcze nic! Od czasu jak bywam w wielkim świecie, spotkałem potworności odziane atlasem, panny Michonneau<sup>5</sup> w białych rękawiczkach, Poiretów w orderach, wielkich panów uprawiających lichwę lepiej od starego Gobsecka! Na hańbę ludzi, kiedy chciałem uścisnąć rękę Cnocie, znalazłem ją drżącą z zimna na poddaszu, ściganą potwarzami, żyjącą z półtora tysiąca franków rocznie i uchodzącą za wariatkę, za dziwaczkę lub za idiotkę. Słowem, mój drogi, margrabina jest kobietą modną, a ja właśnie brzydę się tym rodzajem kobiet. Chcesz wiedzieć czemu? Kobieta, która ma duszę podniosłą, szlachetny smak, łagodny charakter, bogate serce, która prowadzi życie skromne, nie ma żadnych widoków zostania kobietą modną. A konkluzja? Sam ją wyciągnij. Kobieta modna i mężczyzna przy władzy, to dwie analogie; ale z tą różnicą, że przymioty, które wynoszą mężczyznę nad innych, podnoszą go i są jego chlubą, gdy

Kobieta, Mężczyzna,  
Pozycja społeczna

<sup>3</sup>Wykiwali mnie (...) w aferze Nucingena — [patrz:] *Bank Nucingena*. [przypis tłumacza]

<sup>4</sup>*ecco* (wł.) — oto; tu: „ot, co”. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*panna Michonneau* (...) — [patrz:] *Ojciec Goriot*. [przypis tłumacza]

przymioty, którymi kobieta dochodzi do swego jednodniowego panowania, to są okropne przywary. Wynaturza się, aby ukryć swój charakter; aby wieść bojowe życie świata, musi mieć żelazne zdrowie pod wątłymi pozorami. Jako lekarz wiem, że dobry żołądek wyklucza dobre serce. Twoja modna kobieta nie czuje nic, szał uciech ma swoje źródło w potrzebie rozgrzania jej zimnej natury; chce wzruszeń i użycia, jak starzec wysiadający przed bramą Opery. Ponieważ ma więcej głowy niż serca, poświęca dla swego tryumfu prawdziwe uczucia i przyjaciół, jak generał posyła w ogień swoich najwierniejszych oficerów, aby wygrać bitwę. Kobieta modna nie jest już kobietą; nie jest ani matką, ani żoną, ani kochanką; to jest płeć w mózgu, mówiąc po lekarsku. Toteż twoja margrabina ma wszystkie cechy potworności, ma dziób drapieżnego ptaka, oko jasne i zimne, głos słodki; jest gładka jak stal w trybach maszyny, porusza wszystko z wyjątkiem serca.

— Jest coś prawdy w tym co mówisz, Bianchon.

— Coś prawdy! — odrzekł Bianchon — sama prawda. Czy ty myślisz, że ja nie odczułem impertynenckiej grzeczności, z jaką dała mi odczuć idealny dystans, jaki tworzy między nami urodzenie? że nie patrzałem z politowaniem na jej kocią przymilność mającą wyraźnie jakiś cel. Za rok nie napisałaby ani słówka, aby mi oddać najlżejszą przysługę, a dziś wieczór przekarmiła mnie uśmiechami, myśląc, że ja mogę wpłynąć na wuja mego Popinot, od którego zależy wygrana jej procesu...

— Mój drogi, czy wolałbyś, żeby ci nagadała głupstw? Godzę się z twoją filipiką przeciw „modnym kobietom”; ale nie trafiasz w sedno kwestii. Wolałbym zawsze za żonę margrabinę d'Espard od najczystszej, najcichszej, najbardziej kochającej istoty w świecie. Żenić się z aniołem! ależ trzeba by zagrzebać się ze swoim szczęściem gdzieś na zapadłej wsi! Żona człowieka politycznego to maszyna do rządzenia, automat z komplementami, ukłonami; jest pierwszym, najwierniejszym instrumentem, jakim posługuje się człowiek ambitny; słowem, to przyjaciel, który może się skompromitować bez niebezpieczeństwa i którego można się wyprzeć bez konsekwencji. Wyobraź sobie Mahometa w Paryżu, w dziewiętnastym wieku! Żoną jego byłaby jakaś Rohan, sprytna i przymilna jak ambasadorowa, przebiegła jak Figaro. Twoja kochająca kobieta nie prowadzi do niczego, kobieta światowa prowadzi do wszystkiego; jest niby diament, którym mężczyzna kraje wszystkie szyby, kiedy nie ma złotego klucza, którym otwiera się wszystkie drzwi. Zostawmy mieszcuchom cnoty mieszczańskie, ludziom ambitnym przywary ambicji. Zresztą, mój drogi, czy sądzisz, że miłość jakiejś księżnej de Langeais czy de Maufrigneuse, jakiejś lady Dudley, nie daje olbrzymich rozkoszy? Gdybyś wiedział, ile ceny zimne a surowe wzięcie tych kobiet przydaje najmniejszemu dowodowi uczuć! co za radość widzieć pierwiosnek kielkujący spod śniegu! Uśmiech rzucony spod wachlarza zadaje kłam udanej surowości i wart jest wszystkich niepohamowanych wylewów twoich mieszczek o hipotetycznej zdolności poświęceń: bo w miłości poświęcenie bliskie jest wyrachowania. Przy tym kobieta modna, z domu Blamont-Chauvry, ma też swoje atuty! Jej atuty, to majątek, wpływy, blask wzgarda dla wszystkiego, co jest poniżej niej...

— Dziękuję — rzekł Bianchon.

— Stary mieszcuchu! — odparł, śmiejąc się, Rastignac. — No, nie bądź pospolity, rób jak twój przyjaciel Desplein: zostań baronem, bądź kawalerem orderu św. Michała, zostań parem Francji i wydaj swoje córki za księżąt.

— Wolałbym, żeby pięćkroć sto tysięcy diablów...

— Ech, ech, jesteś wielki tylko w medycynie; doprawdy, przykość mi sprawiasz.

— Nienawidzę tego rodzaju ludzi: pragnąłbym rewolucji, która by nas od nich uwolniła na zawsze.

— Zatem, drogi Robespierre z lancetem, nie pójdziesz jutro do wuja Popinot?

— Owszem — rzekł Bianchon — kiedy chodzi o ciebie, poszedłbym z wiadrem po wodę do piekła...

— Drogi przyjacielu, rozczulasz mnie; przysiągłem, że margrabia dostanie się pod kuratelę! Patrz, jeszcze znajduję w oku jakąś starą łzę, aby ci podziękować.

— Ale — ciągnął Horacy — nie przyrzekam ci, że coś wskóram u Jana Juliusza Popinot<sup>6</sup>. Ty go nie znasz! Przeprowadzę go pojutrze do twojej margrabiny, niech go omota, jeśli zdoła. Wątpię. Wszystkie trufle, wszystkie księżne, wszystkie pulardy i wszystkie

<sup>6</sup>Jan Juliusz Popinot — [patrz.:] Cezar Birotteau. [przypis tłumacza]

gilotyny mogłyby się tam znaleźć w całej krasie swoich pokus; król mógłby mu przyrzec parostwo, Pan Bóg mógłby mu ofiarować inwestyturę raju i dochody czyścica; żadna z tych potęg nie uzyskałaby od niego, aby przeniósł bodaj ździebełko z jednej szali na drugą. On jest sędzią, tak jak śmierć jest śmiercią.

Dwaj przyjaciele przybyli pod Ministerium Spraw Zagranicznych na rogu bulwaru *des Capucines*.

— Jesteś u siebie — rzekł Bianchon, śmiejąc się i pokazując pałac ministra. — A oto mój powóz — dodał, pokazując dorożkę. — W ten sposób streszcza się dla każdego z nas przyszłość.

— Będiesz szczęśliwy na dnie wód, gdy ja będę zawsze walczył na powierzchni z burzami, aż w końcu, tonąc, przyjdę cię poprosić o miejsce w twojej grocie, mój stary!

— Do soboty — odparł Bianchon.

— Do soboty — rzekł Rastignac. — Przyrzekasz mi Popinota.

— Tak, uczynię wszystko, na co mi pozwoli moje sumienie. Może ten wniosek o kuratelę kryje jakie małe *dramorama*, aby sobie przypomnieć tym słówkiem nasze dobre złe czasy.

— Biedny Bianchon! to będzie zawsze tylko porządny człowiek — powiedział sobie Rastignac, patrząc za odjeżdżającą dorożką.

— Rastignac obarczył mnie najtrudniejszą z negocjacji — mruknął Bianchon, przypominając sobie przy obudzeniu delikatne zlecenie, jakie mu powierzono. — Ale nigdy nie prosiłem wuja o najmniejszą usługę w sądzie, a zrobiłem dla niego więcej niż tysiąc wizyt *gratis*. Zresztą my między sobą nie robimy ceremonii. Powie mi tak albo nie, i sprawa skończona.

Po tym małym monologu, sławny doktor skierował się, już o siódmej rano, na ulicę *du Fouarre*, gdzie mieszkał Jan Juliusz Popinot, sędzia przy trybunale pierwszej instancji departamentu Sekwany. Ulica *du Fouarre*, wyraz, który oznaczał niegdyś ulicę *de la Paille*, była w trzynastym wieku najznamienszą ulicą Paryża. Tam znajdowały się gmachy uniwersyteckie, kiedy głos Abelarda i Gersona rozlegał się w uczonym świecie. Dziś, jest to jedna z najbrudniejszych ulic dwunastego okręgu, najbiedniejsza dzielnica Paryża, ta, w której dwie trzecie ludności nie ma drzewa w zimie, która najwięcej dostarcza dzieci Podrzutkom, najwięcej chorych szpitalom, najwięcej żebraków ulicy; która wysyła najwięcej szmaciarzy na podwórza, najwięcej chorych starców pod mury, gdzie grzeje słońce, najwięcej arestantów do policji poprawczej. Przy tej ulicy, zawsze wilgotnej, której rynsztok toczy ku Sekwanie brudną wodę z paru farbiarni, znajduje się stary dom, z pewnością odrestaurowany gdzieś za Franciszka I, a zbudowany z cegieł obramionych ciosowym kamieniem. O jego trwałości świadczy konfiguracja zewnętrzna, jaką nierzadko spotyka się w domach paryskich. Jeśli wolno użyć tego słowa, ma on jak gdyby brzuch stworzony wzdęciem, jakie czyni pierwsze piętro, przytłoczone ciężarem drugiego i trzeciego, ale podparte silnym murem parteru. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że ściany między oknami, mimo że wzmocnione obramieniem kamiennym, pękają; ale niebawem obserwator spostrzeże, że z tym domem jest tak jak z wieżą bolońską, stare cegły i stare nadzarte kamienie zachowują niezmożenie swój środek ciężkości. O każdej porze roku, tęgie podmurowanie parteru posiada żółtą barwę oraz ową niedostrzegalną warstwę potu, jaką wilgoć daje kamieniowi. Przechodzień odczuwa chłód, idąc pod murem, gdzie wyszczerbione słupki lichy chronią go od kół kabrioletów.

Jak we wszystkich domach zbudowanych przed epoką powozów, brama tworzy arkadę nadzwyczaj niską, dość podobną do wrót więzienia. Na prawo od tej bramy znajdują się trzy okna opatrzone z zewnątrz kratą żelazną o oczkach tak gęstych, że niepodobna jest ciekawym dojrzeć przeznaczenia wilgotnych i ciemnych izb, przez szyby, brudne zresztą i zakurzone; na lewo dwa podobne okna, z których jedno, czasem otwarte, pozwala dojrzeć odźwiernego, jego żonę i dzieci. Wszystko to kłębi się, pracuje, gotuje, je i krzyczy w brudnej izbie wybitej deskami, gdzie wszystko rozpada się w strzępy i dokąd schodzi się po dwóch stopniach: wyraz stałego podnoszenia się ulic paryskich. Jeżeli, w dzień deszczowy, przechodzień schroni się pod długie sklepienie z wystającymi i bielonymi belkami, wiodące od bramy do schodów, musi go uderzyć obraz, jaki przedstawia wnętrze tego domu. Na lewo znajduje się kwadratowy ogródek, w którym nie da się zrobić więcej niż cztery kroki wzdłuż i wszerz; ogródek z szarą ziemią, gdzie wegetują pędy

wina bez liści i gdzie, z braku roślinności, wschodzą w cieniu dwóch drzew papiery, stare szmaty, ogryzki, kawałki cegły spadłe z dachu; ziemia nieurodzajna, gdzie czas rzucił na mury, na pnie drzew i na ich gałęzie ślad pyłu podobny do zimnej sadzy. W dwu prostokątnych skrzydłach, z których składa się dom, okna wychodzą na ten ogródek, wciśnięty między dwa sąsiednie domy, odrapane, grożące ruiną, gdzie na każdym piętrze widnieją jakieś jaskrawe dokumenty rzemiosł uprawianych przez lokatorów. Tu długie rusztowanie podtrzymuje olbrzymie pasma suszącej się farbowanej wełny; tam na dwóch sznurach kołysze się wyprana bielizna; wyżej spiętrzone tomy książek ukazują świeżo marmurkowane brzegi, kobiety śpiewają, mężowie gwiżdżą, dzieci krzyczą; stolarz piłuje drzewo, mosiężnik skrzypi swoim metalem, wszystkie rzemiosła łączą się, aby stworzyć zgiełk, który liczba instrumentów potęguje do obłędu.

Ogólny system zdobniczy tego pasażu, który nie jest ani dziedzińcem, ani ogrodem, ani sklepieniem, a który ma coś z tego wszystkiego, polega na słupach drewnianych wspartych na kamieniu i tworzących łuki. Dwie arkady wychodzą na ogródek; dwie inne, na wprost bramy, ukazują drewniane schody, których poręcz była niegdyś cudem ślusarstwa, a których zużyte stopnie drżą pod nogami. Drzwi każdego mieszkania posiadają odrzwia ciemne od brudu, tłuszczu, kurzu, i są opatrzone drugimi drzwiami, wybitymi utrechckim aksamitem, a usianymi deseniem żółtych gwoździ. Te resztki świetności świadczą, że za Ludwika XIV dom ten służył za mieszkanie jakiemuś rajcy parlamentu lub bogatemu księdzu. Ale te ślady dawnego zbytku budzą uśmiech swoim osobliwym kontrastem między przeszłością a teraźniejszością.

Jan Juliusz Popinot mieszkał na pierwszym piętrze tego domu, w którym ciemność, właściwą pierwszym piętrům domów paryskich, potęguje ciasnota ulicy. To stare mieszkanie znane było całemu dwunastemu okręgowi, któremu opatrność dała tego sędownika, tak jak daje zbawcze rośliny, aby leczyć lub łagodzić każdą chorobę. Oto szkic tej osobistości, którą chciała omotać świetna margrabina d'Espard.

W charakterze sędownika, pan Popinot był zawsze odziany czarno: kostium ten czynił go śmiesznym w oczach ludzi przywykłych wszystko sądzić powierzchownie. Ludzie pragnący zachować godność, jaką narzuca ten strój, powinni otaczać go ciągłym i drobiazgowym staraniem; ale przezacny Popinot niezdolny był przestrzegać purytańskiej czystości, jakiej wymaga kolor czarny. Spodnie, zawsze wytarte, podobne były do krepy, materii, z której sporządza się togi adwokackie; długie zaś użycie odcisnęło się na nich mnogością fałdów. Białawe, zrudziałe lub błyszczące miejsca na tej części garderoby świadczyły o brudnym sknerstwie lub o najbardziej zaniedbanym ubóstwie. Grube wełniane pończochy tkwiły — zawsze krzywo — w niekształtnych trzewikach. Bielizna miała ów rudy odcień, jaki daje długi pobyt w szafie, świadczący, iż nieboszczka Popinot miała mało bielizny; flamandzkim obyczajem, zadawała sobie z pewnością jedynie dwa razy na rok kłopot prania. Frak i kamizelka sędziego były w harmonii ze spodniami, trzewikami, pończochami i bielizną. Miał stałe szczęście w swoim zaniedbaniu: w dniu bowiem, w którym wkładał nowe ubranie, dostrajał je do całości swojej toalety, plamiąc je z niewytłumaczoną szybkością. Poczciwiec czekał z kupnem nowego kapelusza, aż kucharka zwróci mu uwagę na zgrzybiałość tegoż. Krawat był zawsze skręcony niedbale; kołnierz skrzywiony pod sędziowskim rabatem. Nie nosił nigdy rękawiczek i pakował zazwyczaj ręce w kieszenie, których brzeg, brudny i najczęściej podarty, podkreślał jeszcze wrażenie ogólnego niechlujstwa. Ktokolwiek był w Pałacu Sprawiedliwości w Paryżu, miejscu, gdzie można obserwować wszystkie odmiany czarnego stroju, może sobie wyobrazić wygląd pana Popinot. Zwyczaj siedzenia przez całe dni zmienia mocno ciało, tak samo jak nuda niekończących się obron adwokackich oddziaływa na wyraz twarzy sędziów. Zamknięty w salach niemożliwie ciasnych, szpetnych, bez powietrza, sędzia paryski nabywa z konieczności fizjonomii zgryźliwej, zmiętej od natężenia uwagi, zachmurzonej nudą. Cera jego więdnie, robi się zielonkawa albo ziemista, zależnie od danego temperamentu. Po jakimś czasie najbardziej kwitnący młodzieniec staje się wyblakłą machiną paragrafów, mechanizmem aplikującym kodeks do wszystkiego, z flegmą wagi u zegara. Jeśli tedy natura obdarzyła pana Popinot rysami niezbyt powabnymi, zajęcie nie upięknilo go. Zbudowany był bez wdzięku. Grube kolana, wielkie stopy, szerokie ręce, stanowiły kontrast z księżą fizjonomią przypominającą nieco głowę cielecą, łagodną aż do mdłości, blado rozświetloną wylupianymi oczami, bezkrwistą, przeciętą płaskim i prostym no-

Prawnik, Uroda, Praca

sem, uwieńczoną niemniej płaskim czołem, a ozdobioną parą olbrzymich odstających uszu. Nędzne i rzadkie włosy odsłaniały czaszkę w kilku nieregularnych bruzdach. Jeden jedyny rys zalecał tę czaszkę fizjonomiście. Na ustach tego człowieka oddychała niebiańska dobroć. Były to poczciwe grube czerwone wargi, z tysiącem fałdów, ruchliwe, usta, w których natura złożyła piękne uczucia; usta, które mówiły do serca i które zwiastowały w tym człowieku inteligencję, bystrość, dar jasnowidzenia, anielski rozum; toteż źle by go osądził ten, kto by go sądził jedynie z płaskiego czoła, z wyblakłych oczu i z całej niewydarzonej postaci.

Życie jego odpowiadało powierzchowności; było pełne tajemnych prac i kryło cnoty świętego. Jego znajomość prawa była tak znana, że kiedy Napoleon reorganizował sądownictwo w r. 1806 i 1811, wówczas, na wniosek Cambaceresa, wpisano Popinota jako jednego z pierwszych kandydatów do sądu apelacyjnego w Paryżu. Popinot nie był intrygantem. Za każdym nowym żądaniem, za każdą nową prośbą, minister odsuwał Popinota, który nigdy nie pojawił się ani u arcy-kanclerza ani u Wielkiego Sędziego. Z Apelacji przeniesiono go na listę zwykłych sędziów trybunału, po czym, przez intrygi ludzi czynnych i ruchliwych, pchnięto go na ostatni szczebel. Mianowano go młodszym sędzią. Powszechny krzyk podniósł się w palestrze: „Popinot młodszym sędzią!”. niesprawiedliwość ta uderzyła cały świat sądowy, adwokatów, komorników, wszystkich, wyjąwszy Popinota, który się nie skarżył. Skoro pierwszy krzyk minął, wszyscy uznali, że dzieje się jak najlepiej na najlepszym z możliwych światów, którym musi być z konieczności świat sądowy! Popinot był młodszym sędzią aż do dnia, w którym najsynniejszy kanclerz Restauracji pomścił krzywdy wyrządzone temu skromnemu i cichemu człowiekowi przez Wielkich Sędziów Cesarstwa. Spędziwszy dwanaście lat na stanowisku zastępcy, Popinot miał szansę umrzeć jako zwykły sędzia przy trybunale Sekwany.

Aby wytłumaczyć garbaty los jednego z najwybitniejszych przedstawicieli sądownictwa, trzeba nam zapuścić się w pewne szczegóły, które pozwolą odsłonić jego życie, jego charakter, pokazując zarazem niektóre kółka owej wielkiej maszyny zwanej Sprawiedliwością. Trzech prezydentów, których miał kolejno trybunał Sekwany, wpakowało Popinota w szufladkę „praktyka”. Nie zyskał u przełożonych reputacji talentu, którą prace jego zdobyły mu już pierwej. Tak jak malarz bywa nieodmiennie zamykany w kategorii *pejzażystów*, *portrecistów*, *malarzy historycznych*, *morskich* lub *rodzajowych* przez ogół artystów, znawców lub dudków, którzy, bądź z zazdrości, bądź z despotyzmu krytyki, bądź z przesądów, barykadują go na jednym podwórku, sądząc, że istnieją przegródki we wszystkich mózgach — ciasnota, którą świat stosuje do pisarzy, do polityków, do wszystkich, którzy zaczynają od specjalności, nim ich obwołają uniwersalnymi — tak samo Popinot miał swoje przeznaczenie i został zamknięty w swoim kręgu. Sędziowie, adwokaci, obrońcy, wszystko co pasie się na łączce sądowej, rozróżniają w każdej sprawie dwa czynniki: Prawo i Słuszność. Słuszność wynika z faktów, prawo jest zastosowaniem zasad do faktów. Ktoś może mieć rację wedle słuszności, nie mieć jej wedle prawa, bez winy ze strony sędziego. Między sumieniem a faktem istnieje przepaść pobudek, nieznanych sędziemu, pobudek potępiających lub usprawiedliwiających fakt. Sędzia nie jest Bogiem; obowiązkiem jego jest dociągnąć fakty do zasad, sądzić wypadki nieskończenie rozmaite, posługując się określoną miarą. Gdyby sędzia miał moc czytania w sumieniu i jego pobudkach, aby wydać sprawiedliwy wyrok, każdy sędzia byłby wielkim człowiekiem. Francja potrzebuje około sześciu tysięcy sędziów: żadne pokolenie nie ma sześciu tysięcy wielkich ludzi na swoje usługi; tym bardziej nie może ich znaleźć dla swoich trybunałów. Popinot był, pośród ludności paryskiej, bardzo zręcznym kadim, który przez dary swoich zdolności i przez usilne tarcie litery prawa o ducha faktów, przejrzał braki doraźnych i stanowczych orzeczeń. Ten jasnowidzący sędzia przenikał powłokę podwójnego kłamstwa, pod jakim strony kryją istotę procesu. Był sędzią tak, jak znakomity Desplein<sup>7</sup> był chirurgiem; przenikał sumienia, jak ten uczony przenikał ciała. Życie jego i obyczaje doprowadziły go do ścisłej oceny najtajniejszych myśli w drodze badania faktów. Rył

<sup>7</sup>Desplein — w *Komedii ludzkiej* Balzaca: wybitny chirurg, nauczyciel Bianchona; patrz: *Msza ateusza*. [przypis edytorski]



się w procesie, jak Cuvier<sup>8</sup> ryl się w *humus*<sup>9</sup> globu. Podobnie jak ten wielki myśliciel, kroczył od dedukcji do dedukcji zanim przyszedł do konkluzji, i odtwarzał przeszłość sumienia jak Cuvier odbudowywał jakieś *anoplotheria*. Z powodu jakiejś sprawy budził się często w nocy, zaskoczony iskierką prawdy, która błysła nagle w jego mózgu. Uderzony głębokimi niesprawiedliwościami kończącymi walki, w których wszystko obraca się przeciw uczciwemu człowiekowi, a idzie na rękę hultajom, orzekał często wbrew prawu na rzecz słuszności we wszystkich okazjach, gdzie chodziło niejako o kwestię wyczucia. Uchodził tedy u swoich kolegów za umysł mało praktyczny; racje jego, obszernie wywodzone, przedłużały zresztą obrady; skoro Popinot zauważył niechęć, z jaką go słuchają, wyrażał swą opinię krótko. Mówiono, że źle sędzi tego rodzaju sprawy; że jednak talent jego w badaniu bił w oczy, że jego sąd był jasny, a przenikliwość głęboka, uznano go za człowieka posiadającego szczególne zdolności do uciążliwych funkcji sędziego śledczego. Miał być tedy sędzią śledczym przez większą część swojej kariery sądowniczej.

Mimo że był doskonale uzdolniony do tego trudnego zawodu, mając opinię głębokiego kryminologa zamilowanego w swoim fachu, dobroć serca wydawała go ustawicznie na tortury: znajdował się między sumieniem a współczuciem niby w żelaznej obręczy. Jakkolwiek lepiej wynagradzane niż urząd sędziego cywilnego, funkcje sędziego śledczego nie kuszą nikogo, są zanadto absorbujące. Popinot, człowiek skromny i rzetelnej wiedzy, bez ambicji, niestrudzony pracownik, nie skarżył się na swój los: poświęcił dla dobra publicznego swoje upodobania, swoje współczucie, i pozwolił się wygnać w laguny śledztwa kryminalnego, gdzie umiał być zarazem surowy i dobroczynny. Czasami, pisarz jego wręczał podsądnemu pieniądze, aby sobie kupił tytoniu lub ciepłe ubranie w zimie, odprowadzając go z gabinetu sędziego do *Łapki na myszy*, tymczasowego więzienia, w którym trzyma się uwięzionych do dyspozycji sędziego śledczego. Umiał być nieugiętym sędzią i miłosiernym człowiekiem. Toteż nikt łatwiej od niego nie potrafił wydobyć zeznań, bez uciekania się do sądowych sztuczek. Ten człowiek, którego dobroć zdawała się na pozór głupkowata, prosty i roztargniony, przenikał chytryści weteranów galer, paraliżował sztuczki najsprytniejszych dziewcząt i gwał zbrodniarzy w rękę. Niezwykle okoliczności wyostrzyły jego przenikliwość; aby je objaśnić, trzeba wejść w jego życie prywatne, bo sędziostwo to była jego strona społeczna; ale był w nim jeszcze inny człowiek, większy, a mniej znany.

Na dwanaście lat przed dniem, w którym zaczyna się ta historia, w r. 1816, podczas owego straszliwego głodu, który zeszedł się fatalnie z pobytem tak zwanych Sprzymierzonych we Francji, Popinot był przewodniczącym nadzwyczajnej komisji dla rozdzielania pomocy biedakom w tej dzielnicy. Mianowano go w chwili, gdy zamierzał opuścić ulicę du Fouarre, gdzie pobyt nie podobał się zarówno jemu jak jego żonie. Ten wielki prawnik, ten głęboki kryminolog, którego wyższość wydawała się jego kolegom aberracją, widział od pięciu lat fakty sądowe, nie widząc ich przyczyn. Drapiąc się na poddasza, poznając nędze, śledząc okrutne konieczności, które wiodą stopniowo biedaków do występnych czynów, zgłębiając wreszcie ich długie walki, uczuł w sercu współczucie. Ten sędzia stał się wówczas świętym Wincentym a Paulo tych wielkich dzieci, tych cierpiących robotników. Przeobrażenie to nie dokonało się od jednego razu. Dobroczynność ma swoje szczeble, jak występki mają swoje. Miłosierdzie pożera sakiewkę świętego, jak ruletka zjada majątek gracza, stopniowo. Popinot szedł od nieszczęścia do nieszczęścia, od jałmużny do jałmużny; następnie, kiedy uchylił wszystkie łachmany stanowiące dla tej publicznej nędzy niby opatrunek, pod którym jętrzy się gorączkowa rana, stał się, po upływie roku, opatrnością swojej dzielnicy. Został członkiem komitetu dobroczynności i biura dobroczynnego. Wszędzie gdzie były jakieś bezpłatne funkcje do spełniania, przyjmował je i działał bez emfazy, na sposób *człowieka w błękitnym płaszczu*<sup>10</sup>, który żyje tym, że nosi zupę tam, gdzie znajdują się ludzie głodni. Popinot miał to szczęście, że działał na szerszej przestrzeni i w wyższej sferze; czuwał nad wszystkim, uprzedzał zbrodnie, dawał robotę niezatrudnionym robotnikom, lokował kaleków, rozdelał roztropnie zasiłki na wszystkich zagrożonych punktach, stając się doradcą wdowy, opiekunem bezdomnych

<sup>8</sup>Cuvier, Georges (1769–1832) — zoolog i paleontolog, twórca pierwszej klasyfikacji zwierząt. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>humus — szczątki organiczne pozostawione w glebach; próchnica. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>człowiek w błękitnym płaszczu — Edme Champion (1764–1852), głośny filantrop paryski. [przypis tłumacza]

dzieci, finansistą drobnego przemysłu. Nikt w Sądzie ani w Paryżu nie znalazł tego sekretnego życia Popinota. Istnieją cnoty tak jasne, że znoszą ciemność; ludzie siłą się schowają je pod korcem. Co się tyczy ludzi, którym świadczył dobrodziejstwa, ci, pracując w dzień i zmęczeni w nocy, niewiele mieli sposobności, aby go wysławiać; byli niewdzięczni jak dzieci, które nigdy nie mogą się wypłacić, bo za wiele są dłużne. Istnieją musowe niewdzięczności; ale czyż serce, które sieje dobro, aby zebrać wdzięczność, mogłoby się mienić wielkim? Od drugiego roku swego tajemnego apostolatu, Popinot zmienił na rozmównicę magazyn na parterze w swoim domu, ten, który miał trzy okna opatrzone żelazną kratą. Ściany i sufit tej wielkiej izby były wybielone wapnem, urządzenie składało się z ławek podobnych do ławek w szkole, z prostej szafy, orzechowego biurka i fotela. W szafie znajdowały się rejestry dobroczynności, bony na chleb, i dziennik. Prowadził książki handlowe, aby nie dać się oszukać swemu sercu. Wszystkie nędze całej dzielnicy były tam ujęte w cyfry, pomieszczone w książce, gdzie każde nieszczęście miało swoje konto, jak u kupca każdy wierzyciel. Kiedy miał wątpliwości co do jakiejś rodziny, co do człowieka proszącego o wsparcie, sędzia miał do swego rozporządzenia informacje policji. Lavienne, służący stworzony dla tego pana, był jego adiutantem. Wykupywał lub odnawiał kwity lombardowe, biegł w miejsca najbardziej zagrożone, gdy pan jego pracował w sądzie. Od czwartej do siódmej rano w lecie, od szóstej do dziewiątej w zimie, sala ta była pełna kobiet, dzieci, biedaków, którym Popinot udzielał audiencji. Nie było tam potrzeba pieca w zimie; cisnęło się tyle ludzi, że było gorąco; Lavienne kładł jedynie nieco słomy na zbyt wilgotnej podłodze. Po jakimś czasie ławki stały się gładkie jak politurowany mahoń; następnie, na wysokość człowieka, ściana nabrała jakiegoś ciemnego pokostu od lachmanów lub zniszczonej odzieży tych biedaków. Nieszczęśliwi ci tak kochali Popinota, że, kiedy przed otwarciem bramy skupiali się nad ranem w zimie — kobiety grzejące się fajerkami, mężczyźni machający rękami, aby się rozgrzać — nigdy żaden szmer nie zamącił snu sędziego. Szmacciarze, ludzie pracujący w nocy, znali to mieszkanie i widzieli często światło w gabinecie sędziego o niemożliwie późnych godzinach. Złodzieje nawet mówili, przechodząc: *To jego dom*, i respektowali go. Ranek należał do biednych, dzień do zbrodniarzy, wieczór do prac sądowych.

Geniusz obserwacji, jaki posiadał Popinot, był tedy siłą rzeczy dwoisty: odgadywał cnotliwą nędzę, zdeptane dobre uczucia, chybione piękne uczynki, nieznanne poświęcenia, tak jak szukał w głębi sumień najlżejszych zarysów zbrodni, najcieńszych nitek występków, aby zawsze we wszystkim rozróżniać. Ojcowizna Popinota wynosiła tysiąc talarów renty. Żona jego, siostra starego Bianchon, lekarza w Sancerre, wniosła mu dwa razy tyle. Umarła przed pięciu laty, zostawiając majątek mężowi. Ponieważ płaca zastępcy sędziego jest szczupła, Popinot zaś był rzeczywistym sędzią dopiero od czterech lat, łatwo odgadnąć przyczyny jego oszczędności we wszystkim, co tyczyło jego osoby lub życia, kiedy się widziało, jak skromne były jego dochody, a jak wielka dobroczynność. Zresztą, obojętność na punkcie ubrania, zrozumiała u człowieka tak zaabsorbowanego, czyż nie jest swoistą cechą głębokiej wiedzy, namiętnie uprawianej sztuki, myśli wciąż czynnej! Aby dokończyć tego portretu, wystarczy dodać, że Popinot był z małej liczby sędziów trybunału Sekwany, którzy nie mieli krzyża Legii.

Taki był człowiek, któremu prezydent drugiej Izby Trybunału (Popinot był od dwóch lat przydzielony do spraw cywilnych) polecił przesłuchanie margrabiego d'Espard, na skargę przedłożoną przez jego żonę celem uzyskania kurateli.

Ulica du Fouarre, gdzie roilo się tylu biedaków od wczesnego rana, pustoszała o dziesiątej i odzyskiwała swój wygląd ponury i nędzny. Bianchon popędził tedy konia, aby zdybać wuja w czasie jego audiencji. Nie bez uśmiechu myślał o osobliwym kontraście, jakim będzie obecność sędziego u pani d'Espard; ale przyrzekł sobie skłonić go do zrobienia toalety, w której nie byłby zbyt śmieszny. „Czy wujaszek ma bodaj jakie nowe ubranie? — powiedział sobie Bianchon, wjeżdżając w ulicę Fouarre, gdzie z okien rozmównicy padało blade światło. — Dobrze będzie, jak sądzę, porozumieć się w tej kwestii z Laviennem”.

Słyszając turkot kabrioletu, dziesiątek zdziwionych biedaków wyszedł z bramy: odkryli głowy, poznając lekarza; Bianchon bowiem, który leczył darmo chorych poleconych mu przez sędziego, był dobrze znany zebrany tutaj nieszczęśliwym. Bianchon spostrzegł wuja w rozmównicy, gdzie ławki były w istocie pełne biedaków, odznaczających się nie-

zwykłą oryginalnością stroju, która uderza na ulicy przechodniów najdalszych od artyzmu. To pewna, że rysownik — jakiś Rembrandt, gdyby istniał za naszych czasów — stworzyłby wspaniałą kompozycję widząc te naiwnie zgrupowane i milczące nędze. Tutaj, surowa twarz starca o siwej brodzie, apostołskiej czaszce, przedstawiała żywy obraz świętego Piotra. Piers jego, na wpół odkryta, ukazywała wydatne mięśnie, oznakę żelaznego organizmu, który pozwolił mu udźwignąć cały poemat nieszczęść. Tam, młoda kobieta podawała pierś najmłodszemu dziecku, aby mu nie dać krzyczeć; drugie zaś, może pięcioletnie, trzymała na kolanach. Ta pierś, której biel lśniła pośród tych lachmanów, to dziecko o przezroczystej cerze i brat jego, którego poza zapowiadała przyszłego ulicznika, wszystko to przemawiało do duszy niemalże wdzięcznym kontrastem z długim sznurem twarzy zaczerwienionych od chłodu. Dalej, stara kobieta, blada i zimna — odpychająca maska zbuntowanej nędzy, gotowej pomścić w dzień buntu wszystkie minione niedole. Był tam i młody robotnik, wątpy, leniwy, którego inteligentne oko świadczyło o wielkich zdolnościach, zniszczonych przez daremnie zwalczane potrzeby; dławił, milcząc, swoje cierpienia, bliski śmierci z niemożności przedostania się przez kraty olbrzymiego zwierzyńca, gdzie kłębią się te pożerające się wzajem nędze. Przeważały kobiety; mężowie ich, spiesząc do warsztatów, zostawiali im z pewnością troskę walczenia za sprawę rodziny, z ową inteligencją która cechuje kobietę z ludu, prawie zawsze królową na swoim śmietniku. Ujrzelibyście tam na wszystkich głowach podarte fulary, suknie zaszargane błotem, chustki w strzępach, brudne i dziurawe kaftaniki; ale wszędzie oczy błyszczące jak żywe płomienie. Straszliwa gromada, której widok budził zrazu wstręt, ale która rychło rodziła lęk, z chwilą gdy się widziało, że rezygnacja tych dusz, zmagających się z potrzebami życia, była czysto okolicznościową spekulacją na miłosierdzie. Dwie lojówki, które oświecały rozmównicę, migotały w rodzaju mgły wytworzonej przez cuchnącą atmosferę tego źle wietrzonego miejsca.

Sam sędzia był nie najmniej malowniczą figurą w tym zebraniu. Miał na głowie wełnianą zrudziałą szlafmycę. Ponieważ był bez krawata, szyja jego, czerwona od zimna i pomarszczona, sterczała nad wystrzępionym kołnierzem starego szlafroka. Zmęczona twarz miała ów na wpół głupkowaty wyraz, właściwy ludziom mocno czymś zajęтым. Usta jego, jak u wszystkich, którzy pracują, były ściągnięte na kształt sakiewki z zaciśniętym sznurkiem. Zmarszczone czoło zdawało się dźwigać brzemień wszystkich tych zwierzeń: czuł, ważył i sądził. Oczy jego, baczne jak oczy lichwiarza, odrywały się od ksiązek i rejestrow, aby wnikać w samą głąb ludzi, których obejmował owym chybkim wzrokiem, jakim skąpcy wyrażają swoje niepokoje. Stojąc za swoim panem, gotów wykonać jego rozkazy, Lavienne pełnił widocznie straż i przyjmował nowo przybyłych, dodając im otuchy.

Kiedy ukazał się lekarz, zrobiło się poruszenie na ławkach. Lavienne odwrócił głowę i zdziwił się mocno, widząc Bianchona.

— A, to ty, mój chłopcze — rzekł Popinot, przeciągając się. — Co cię sprowadza o tej porze?

— Bałem się, wuju, abyś nie podjął, nim zobaczysz się ze mną, pewnej wizyty urzędowej, w której przedmiocie chcę z tobą pomówić.

— No, matusiu — rzekł sędzia, zwracając się do tęgiej kobiety, która stała przy nim — jeśli mi nie powiecie, o co wam chodzi, ja tego nie zgadnę.

— Śpieszcie się — rzekł Lavienne — nie zabierajcie czasu innym.

— Proszę pana — rzekła wreszcie kobieta, czerwieniąc się i zniżając głos, tak aby ją słyszeli tylko Popinot i Lavienne — ja jestem straganiarką i mam dziecko, za które jestem winna u mamki. Schowałam tedy swoich parę groszy...

— I co? Wasz chłop wam je zabrał? — rzekł Popinot, zgadując koniec spowiedzi.

— Tak, proszę pana.

— Jak się nazywacie?

— La Pomponne.

— A mąż?

— Toupinet.

— Ulica *du Petit-Banquier* — mruknął Popinot, sprawdzając rejestry. — Jest w więzieniu — rzekł, odczytując uwagę na marginesie arkusza, na którym ta para była wpisana.

— Za długi, wielmożny panie.

Popinot potrząsnął głową.

— Ale, proszę pana, ja nie mam za co kupić towaru, właściciel przyszedł wczoraj i zmusił mnie, aby mu zapłacić, inaczej wyrzuciłby mnie na bruk.

Lavienne nachylił się do pana i szepnął mu kilka słów.

— No i co, ile wam trzeba, aby kupić owocu w Halach?

— Hm, wielmożny panie, żeby móc dalej handlować, trzeba by mi dziesięć franków.

Sędzia dał znak służącemu, który wydobyl z wielkiego worka dziesięć franków i dał je kobiecie, gdy sędzia zapisywał pożyczkę w rejestrze. Widząc gest radości, jaki uczyniła przekupka, Bianchon odgadł obawy, które z pewnością miały kobietą, kiedy szła do tego domu.

— Teraz wy — rzekł Lavienne do starca z siwą brodą.

Bianchon odciągnął służącego na stronę i spytał, ile czasu zajmie ta audyencja.

— Pan miał dwieście osób dziś rano, jeszcze zostało *do zrobienia* tych osiemdziesiąt — rzekł Lavienne — pan doktor miałby czas odbyć swoje pierwsze wizyty.

— Mój chłopcze — rzekł sędzia, odwracając się i ujmując Horacego za ramię — masz oto dwa adresy niedaleko stąd, jeden przy ulicy de Seine, drugi de l'Arbalète. Przy ulicy de Seine młoda dziewczyna się zaczadziła, a tam znów znajdziesz człowieka, którego przyjmiesz do swego szpitala. Czekam cię ze śniadaniem.

Bianchon wrócił za godzinę. Ulica du Fouarre była już pusta, zaczynał się robić dzień, sędzia wracał do mieszkania. Ostatni biedak, którego ranę opatrzył, odchodził, a worek służącego był próżny.

— No i cóż, jak się mają? — spytał sędzia na schodach.

— Człowiek umarł, dziewczyna się wylize — odparł Bianchon.

Od czasu kiedy zbrakło oka i dłoni kobiety, mieszkanie pana Popinot przybrało wygląd zgodny z fizjonomią właściciela. Abnegacja człowieka pochłoniętego jedną myślą wyciskała dziwaczne piętno na wszystkim. Wszędzie odwieczny kurz, wszędzie owo pomieszanie przeznaczeń rozmaitych przedmiotów właściwe kawalerskiemu gospodarstwu. Były tam papiery w wazonach na kwiaty, puste butelki z atramentu na meblach, zapomniane talerze, słowem wszystkie góry i doliny spowodowane podjętymi i poniechanymi zamiarami zrobienia porządku. Gabinet sędziego, szczególnie nawiedzony tym nieustannym bezładem, odbijał roztargnienie człowieka przywalonego zajęciami, wziętego w krzyżowy ogień kłócących się z sobą zatrudnień. Biblioteka była jak po pożarze; książki wałęsały się, jedne wsadzone w drugie, inne rzucone otwarte na ziemię; pakiety aktów rozłożone szeregiem zawały podłogę, niefroterowaną od dwóch lat. Stoły i meble były obładowane wotami, znoszonymi przez wdzięczną nędzę. Bukiety sztucznych kwiatów, obrazy, na których widniały cyfry Popinota w otoczeniu serc i nieśmiertelników, stroiły ściany. Tu jakieś puzderka pretensjonalnie wykonane i niezdatne do niczego; tam jakiś przycisk w stylu robótek, jakie wykonują więźniowie w swej celi. Te arcydzieła cierpliwości, te rebusy wdzięczności, zeschłe bukiety, dawały gabinetowi i sypialni sędziego wygląd sklepu z zabawkami. Poczciewicz robił sobie *memorandum* z tych sprzętów; zapelniał je notatkami, zapomnianymi piórami i drobnymi świstkami. Te szczytne świadectwa anielskiego miłosierdzia były pełne kurzu, nieświeże, brudne. Kilka ptaków, doskonale wypchanych, ale zjedzonych przez mole, sterczało w tym lesie fatalasek, gdzie królował kot angora, ulubieniec pani Popinot, któremu z pewnością jakiś naturalista bez grosza wrócił wszystkie pozory życia, płacąc w ten sposób wiekuistym skarbem drobną jałmużnę.

Jakiś miejscowy artysta, którego serce sprowadziło pędzel na bezdroża, wykonał portrety obojga państwa Popinot. Nawet w alkwie sypialni widziało się haftowane poduszeczki, krajobrazy z koralików, krzyże z gnieczonego papieru, których ornamenty świadczyły o szalonej pracy. Firanki były szerniałe od dymu, portiere nie miały już żadnego koloru. Między kominkiem i długim stołem, przy którym pracował sędzia, kucharka postawiła na stolyczku dwie filiżanki kawy z mlekiem. Dwa mahoniowe fotele obite włosiem oczekiwały wuja i siostrzeńca. Ponieważ światło dzienne nie dochodziło do tego miejsca, kucharka zostawiła tam dwie łożówki, których nieproporcjonalnie wybujałe knoty obrośły grzybem i rzucały owo czerwone światło, które oszczędza świecę, spalając ją wolno; wynalazek skąpców.

— Drogi wuju, powinien byś się cieplej ubierać, kiedy schodzisz do rozmównicy.

— Nie lubię dawać czekać tym biednym ludziom! No i co, co masz za interes?

— Hm! Przychodzę wuja zaprosić na jutro na obiad do margrabiny d'Espard.

— To nasza krewna? — spytał sędzia tonem tak naiwnego roztargnienia, że Bianchon parsknął śmiechem.

— Nie, wuju, margrabina d'Espard to jest dostojna i znamienita dama, która wniosła skargę do trybunału celem oddania męża pod kuratelę. Wujowi właśnie powierzono...

— I ty chcesz, abym ja szedł do niej na obiad? Czyś ty oszalał? — rzekł sędzia, chwytając kodeks. — Masz, czytaj paragraf, który zabrania sędziemu jeść i pić u jednej ze stron, które ma sądzić. Niech przyjdzie do mnie twoja margrabina, jeśli ma mi coś do powiedzenia. Mam w istocie iść jutro przesłuchać jej męża, skoro przestudiuję sprawę przez noc.

Wstał, wziął plik aktów znajdujący się pod przyciskiem i rzekł, przeczytawszy nagłówek:

— Oto akta. Skoro ta dostojna i znamienita dama interesuje cię, zobaczmyż tę skargę!

Popinot zawiązał szlafrok, który otwierał się ciągle, obnażając pierś, umoczył rogalik w wystygłej kawie i wyszukał skargę, którą przeczytał, pozwalając sobie na małe nawiasy i na dyskusje, w których siostrzeniec jego brał udział.

„Do pana prezydenta trybunału cywilnego pierwszej instancji departamentu Sekwany, zasiadającego w Pałacu Sprawiedliwości.

Pani Joanna Klementyna Atenais de Blamont-Chauvry, małżonka pana Karola Maurycego Marii, hrabiego de Nègrepelisse, margrabiego d'Espard (dobra szlachta), właściciela ziemskiego; rzeczona pani d'Espard mieszkająca przy ulicy du Faubourg-Saint-Honoré nr 104, rzeczony zaś pan d'Espard przy ulicy de la Montagne-Sainte-Genève nr 22 (Prawda, prezydent mówił mi, że to w mojej dzielnicy!), przy czym jako adwokat powódki występuje pan Desroches”.

— Desroches! aferzysta, człowiek źle widziany w sądzie i u swoich kolegów, człowiek, który szkodzi swoim klientom!

— Biedny chłopak, nieszczęściem jest bez majątku i wije się jak diabeł w kropielnicy, to wszystko.

„Ma zaszczyt panu przedstawić, panie prezydencie, że od roku zdolności moralne i umysłowe pana d'Espard, jej męża, uległy tak głębokiej zmianie, iż przedstawiają obecnie stan szaleństwa i zidiocenia, przewidziany artykułem 486 kodeksu cywilnego, i domagają się, dla dobra jego mienia, jego osoby i w interesie jego dzieci, które chowają się przy ojcu, zastosowania postanowień wymaganych w tym samym paragrafie;

Że w istocie stan umysłowy pana d'Espard, który od kilku lat budził poważne obawy, zrodzone przyjętym przez niego systemem prowadzenia swoich interesów, przebiegł, zwłaszcza w tym ostatnim roku, oplakane szczyble upadku; że zwłaszcza wola ucierpiała od postępów choroby i że jej porażenie wydało pana d'Espard wszystkim niebezpieczeństwem nieudolności stwierdzonych następującymi faktami:

Od dłuższego czasu, wszystkie dochody z dóbr margrabiego d'Espard idą, bez zrozumiałej przyczyny i bez korzyści, nawet czasowej, do rąk starej kobiety, której odpychająca brzydota jest powszechnie stwierdzona, nazwiskiem pani Jeanrenaud, mieszkającej to w Paryżu, przy ulicy de la Vrillière numer 8, to w Villeparisis w pobliżu Claye, departament *Seine et Marne*, i na rzecz jej syna, mającego trzydzieści sześć lat, oficera ex-gwardii cesarskiej, którego, przez swoje stosunki, margrabia d'Espard umieścił w gwardii królewskiej w charakterze dowódcy szwadronu w pierwszym pułku kirasjerów. Te osoby, wtrącone przez rok 1814 w ostateczną nędzę, nabyły kolejno nieruchomości znacznej ceny, między innymi w ostatnim czasie dom przy *Grande rue Verte*, gdzie imć Jeanrenaud czyni obecnie znaczne wkłady, aby tam zamieszkać z imć Jeanrenaud, jego matką, w zamiarze małżeństwa, jaki żywi; które to wydatki sięgają przeszło stu tysięcy franków. Małżeństwo to nawiązało się dzięki staraniom margrabiego d'Espard u jego bankiera imć pana Mongenod, o którego siostrzenicy rękę poprosił dla rzeczoności imć Jeanrenaud, przyrzekając, iż, przez swoje wpływy, wyrobi mu tytuł barona. Nominację tę ziscił w istocie dekret Jego Królewskiej Mości z dnia 29 grudnia ubiegłego roku, na prośbę margrabiego d'Espard, jak to może zaświadczyć Jego Dostojność pan Minister Sprawiedliwości, o ile by trybunał uznał za właściwe uciec się do jego świadectwa;

Iż żadna racja, nawet zaczerpnięta wśród tych, które są potępione zarówno przez moralność jak przez prawo, nie może usprawiedliwić wpływu, jaki rzeczona wdowa Jeanrenaud zdobyła na margrabiego d'Espard, który zresztą widuje ją nader rzadko, ani też wytłumaczyć jego szczególnego przywiązania do rzeczonego barona Jeanrenaud, z którym stosunki jego również są rzadkie; mimo to wpływ ich okazuje się tak wielki, iż za każdym razem, kiedy potrzebują pieniędzy, chociażby na zaspokojenie zwyczajnego kaprysu, ta dama lub jej syn...”

— He he! *racje, które potępia zarówno moralność jak prawo!* Co on chce nam podsunąć, ten pan dependent czy też adwokat? — rzekł Popinot.

Bianchon zaczął się śmiać.

„...ta dama *lub jej syn* uzyskują, bez najmniejszej trudności od margrabiego d'Espard to, czego żądają; w braku zaś gotowizny, pan d'Espard podpisuje weksle, eskontowane przez imię pana Mongenod, który ofiarował się powódce zaświadczyć ten fakt;

Że zresztą, na potwierdzenie tych faktów, zdarzyło się świeżo, w czasie odnowienia dzierżawy dóbr Espard, że gdy dzierżawcy wypłacili dość znaczne sumy, odnawiając swoje kontrakty, imię Jeanrenaud natychmiast kazał je sobie przekazać;

Że wola margrabiego d'Espard ma tak mały udział w przelewie tych sum, iż kiedy mu wspomniano o nich, wręcz nie przypominał sobie tego; że za każdym razem, kiedy osoby poważne zapytywały go o pobudki jego przywiązania do tych dwojga osobników, odpowiedzi jego świadczyły o tak zupełnym bezładzie jego myśli i interesów, iż musi istnieć w tej sprawie tajemna przyczyna, na którą powódka pragnie ściągnąć oko sprawiedliwości, zważywszy, iż niepodobieństwem jest, aby ta przyczyna nie była zbrodnicza, występna i przymusowa, lub też przyrody<sup>11</sup> domagającej się oceny lekarzy sądowych, o ile wszelako powolność ta nie jest z rzędu tych, które wchodzą w zakres nadużycia władz moralnych i których nie można określić inaczej, niż posługując się jaskrawym terminem *opętania*...”

— Tam do licha! — rzekł Popinot — cóż ty na to, mój chłopcze? To są bardzo osobliwe fakty.

— Mogłyby — odparł Bianchon — być skutkiem władzy magnetycznej.

— Więc ty wierzysz w głupstwa Mesmera<sup>12</sup>, w jego stoliki, w widzenie przez ściany?

— Tak, wuju — odrzekł poważnie doktor. — Słuchając tego pozwu, myślałem o tym. Powiadam ci, że stwierdziłem, w innej sferze działania, wiele analogicznych faktów, dowodzących bezgranicznej władzy, jaką może jeden człowiek zdobyć nad drugim. Jestem, sprzecznie z mniemaniem moich kolegów, zupełnie przeświadczony o potędze woli jako siły motorycznej. Widziałem, z wykluczeniem wszelkiej baśni i wszelkiej szarlatanerii, objawy takiego opętania. Uczynki, przyręczone *magnetyzerowi* we śnie, *medium* jego skrupulatnie spełniało na jawie. Wola jednego stała się wolą drugiego.

— Postępki wszelkiego rodzaju?

— Tak.

— Nawet zbrodnicze?

— Nawet.

— Gdyby mi to mówił kto inny niż ty, wzruszyłbym po prostu ramionami.

— Mogę ci to pokazać naocznie — rzekł Bianchon.

— Hm, hm — rzekł sędzia. — Przyjmując, że przyczyna tego rzekomego *opętania* należy do tej kategorii faktów, trudno byłoby stwierdzić to i dowieść tego prawnie.

— Jeżeli ta pani Jeanrenaud jest w istocie tak szpetna i stara, nie widzę, jaki inny wpływ mogłaby posiadać — rzekł Bianchon.

— Ale — odparł sędzia — w roku 1814, kiedy te uroki zaczęły działać, ta kobieta musiała mieć o czternaście lat mniej. Jeżeli stosunki jej z panem d'Espard sięgały dziesięć

<sup>11</sup>*przyroda* — tu: natura, charakter. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*Mesmer, Franz Anton* (1734–1815) — niem. lekarz i magnetyzer, w latach 1778–84 działał we Francji, znajdując wielu wyznawców swojej teorii magnetyzmu zwierzęcego, według której o zdrowiu organizmów zwierzęcych, jak również ludzkiego, decyduje harmonijny przepływ „fluidu” (energii opisywanej jako subtelna materia), zaburzenia zaś jego przepływu powodują choroby; kuracja Mesmera (mesmeryzm) polegała na porządkowaniu krążenia fluidu wzdłuż pasów wyznaczonych na ciele ludzkim poprzez zbliżenie i przesuwanie rąk terapeutę; powołana przez króla Ludwika XVI specjalna komisja orzekła, że mesmeryzm jest naukowo nieuzasadniony i z uwagi na względy obyczajowe (Mesmer leczył pacjentki na osobnych seansach, zajmując się najczęściej dolegliwościami nerwowymi) został wydalony z Francji; jego zwolennicy rozwijali dalej teorię i praktykę jeszcze niemal do końca wieku XIX. [przypis edytorski]

lat wstecz, daty te cofają nas o dwadzieścia cztery lat; w której to epoce dama ta mogła być młoda, ładna i mogła zdobyć, środkami bardzo naturalnymi dla siebie i dla swego syna, na margrabiego d'Espard wpływ, któremu mężczyźni nie umieją się oprzeć. O ile przyczyna tego wpływu jest naganna w oczach sprawiedliwości, jest ona usprawiedliwiona w oczach natury. Pani Jeanrenaud mogła się pogniewać o małżeństwo zawarte prawdopodobnie w owym czasie przez margrabiego d'Espard z panną de Blamont-Chauvry; słowem, na dnie tego wszystkiego może być jedynie kobieca rywalizacja, skoro margrabia nie mieszka już od dawna z żoną.

— Ale ta odpychająca brzydota, wuju?

— Siła uroków — odparł sędzia — jest w prostym stosunku do brzydoty, stara rzecz! A ospa, doktorze? Ale czytamy dalej.

„Iż od roku 1815, aby dostarczyć sum wymaganych przez te dwie osoby, margrabia d'Espard zamieszkał z dwojgiem swoich dzieci przy ulicy *de la Montagne-Saint-Genève*, w mieszkaniu, którego ubóstwo niegodne jest jego nazwiska i stanu... (Każdy mieszka jak mu się podoba!) ...iż wychowuje tam swoich dwóch synów, hrabiego Klemensa d'Espard i wicehrabiego Kamila d'Espard, w sposobie życia niezgodnym z ich przyszłością, z ich nazwiskiem i ich majątkiem; iż często brak pieniędzy dochodzi tak daleko, że niedawno imć Maraist zajął meble znajdujące się w mieszkaniu; że, kiedy tę drogę pościgu wdrożono w jego obecności, margrabia d'Espard pomagał komornikowi, którego traktował jak człowieka z najlepszej sfery, obsypując go wszystkimi oznakami grzeczności i szacunku, jakie miałby dla osoby stojącej wyżej od niego”.

Wuj i siostrzeniec spojrzeli po sobie, śmiejąc się.

„Iż zresztą wszystkie akty jego życia, nawet poza faktami przytoczonymi odnośnie do wdowy Jeanrenaud i imćpana barona Jeanrenaud, jej syna, są nacechowane szaleństwem; iż blisko od dziesięciu lat, zajmuje się tak wyłącznie Chinami, ich zwyczajami, obyczajami, ich historią, że odnosi wszystko do zwyczajów chińskich; że, zapytywany w tej mierze, miesza sprawy współczesne, wczorajsze wypadki z faktami tyczącymi Chin; iż krytykuje akty rządu i postęпки króla, mimo iż zresztą kocha go osobiście, porównując je z polityką chińską;

„Że ta monomania popchnęła margrabiego d'Espard do czynów sprzecznych z rozsądkiem; że, wbrew obyczajom swego stanu, wbrew własnym nieraz wyrażonym pojęciom o obowiązkach szlachty, wdał się w przedsięwzięcie handlowe, na które wciąż podpisuje terminowe zobowiązania zagrażające dziś jego czci i majątkowi, ile że oblekają go w charakter kupca i mogą, w braku zapłaty, postawić go w stanie bankructwa; że te zobowiązania zaciągnięte wobec papierników, drukarzy, litografów i kolorystów, którzy dostarczyli elementów potrzebnych do tej publikacji, zatytułowanej *Historia Chin w obrazach* i ukazującej się zeszytami, są tak znaczne, iż sami ci dostawcy, chcąc ocalić swoje wiarygodności, błagali powódkę, aby domagała się kurateli nad margrabią d'Espard...”

— To jakiś wariat — wykrzyknął Bianchon.

— Tak myślisz! — rzekł sędzia. — Trzeba go przesłuchać. *Audiatur et altera pars*<sup>13</sup>.

— Ależ zdaje mi się... — rzekł Bianchon.

— Ależ zdaje mi się — rzekł Popinot — iż, gdyby ktoś z moich krewnych chciał zagarnąć zarząd mojego majątku, i gdybym, zamiast być prostym sędzią, którego stan umysłowy koledzy mogą stwierdzić co dzień, był księciem i parem, wówczas jakiś sprytny adwokat, jak ten Desroches, mógłby wygotować podobną skargę przeciw mnie.

„Że wychowanie dzieci ucierpiało od tej monomanii, i że ich nauczył, sprzecznie ze wszystkimi zasadami wychowania, faktów z historii chińskiej, sprzeciwiających się naukom religii katolickiej, dalej nauczył ich dialektów chińskich...”

— Tu już Desroches przeholował — rzekł Bianchon.

— Skargę wygotował jego dependent Godeschal, którego znasz i który nie jest zbyt tęgi Chińczyk — rzekł sędzia.

„Iż zostawia swoje dzieci pozbawione najniezbędniejszych rzeczy; iż powódka, mimo swoich próśb, nie może ich widywać; iż margrabia d'Espard przyprowadza je jej tylko raz do roku; iż wiedząc, w jakim żyją ogołoceniu, czyniła daremne usiłowania, aby im dostarczyć sprzętów najniezbędniejszych do życia, których im zbywało...”

<sup>13</sup>*audiatur et altera pars* (łac.) — wysłuchajmy i drugiej strony. [przypis edytorski]

— Och, pani margrabino, to już są kpiny. Kto chce za wiele dowieść, nie dowodzi niczego. Mój drogi chłopcze — rzekł sędzia, kładąc akty na kolanach — gdzież jest matka, której by brakło serca, sprytu, krwi, aby sprostać najprostszemu instynktowi zwierzęcemu? Matka ma tyle chytrkości, gdy chodzi o to, aby dotrzeć do swoich dzieci, ile jej ma młoda dziewczyna w swojej intryżce miłosnej. Gdyby twoja markiza chciała nakarmić albo odziać swoje dzieci, sam diabeł nie byłby jej z pewnością przeszkodził. Trochę za długi jest ten tasemiec, aby go przelknął stary sędzia. Jedźmy dalej.

„Że wiek, do którego dochodzą rzeczone dzieci, wymaga bezzwłocznie, aby podjęto kroki celem usunięcia ich od zgubnego wpływu tego wychowania; aby pokierowano nimi wedle wymagań ich stanu i aby nie miały przed oczami przykładu, jaki im daje postępowanie ich ojca.

Że, na poparcie powyżej przytoczonych faktów istnieją dowody, których trybunał uzyska z łatwością stwierdzenie; po wiele razy pan d'Espard nazwał sędziego pokoju dwunastego okręgu mandarynem trzeciej klasy; po wiele razy nazwał profesorów kolegium Henryka IV „uczeńcami” (oni się o to gniewają!). Z okazji najprostszych rzeczy powiada, że nie tak się dzieje w Chinach; w trakcie zwyczajnej rozmowy czyni aluzje bądź to do pani Jeanrenaud, bądź do wypadków zaszłych za Ludwika XIV i wpada wówczas w najczarniejszą melancholię: wyobraża sobie czasami, że jest w Chinach. Wielu jego sąsiadów, w szczególności imię Edmund Becker, student medycyny, Jan Baptysta Fremiot, nauczyciel, zamieszkali w tym samym domu, myślą, na podstawie styczności z margrabią d'Espard, że jego monomania we wszystkim, co się odnosi do Chin, jest następstwem planu powziętego przez barona Jeanrenaud oraz jego matkę celem ostatecznego unicestwienia władz umysłowych margrabiego d'Espard, zważywszy, iż jedyną usługą, jaką oddaje margrabiemu pani Jeanrenaud, jest to, iż dostarcza mu wszystkiego, co się odnosi do cesarstwa Chin;

Iż wreszcie powódka podejmuje się dowieść Trybunałowi, że sumy pochłonięte przez oboje Jeanrenaud od 1814 do 1828 sięgają kwoty nie mniejszej niż milion franków.

Na potwierdzenie poprzedzających faktów, powódka ofiarowuje panu prezydentowi świadectwo osób, które widują stale margrabiego d'Espard, a których nazwiska i stan wyszczególnione są poniżej, z których wiele błagało ją, aby zyskała ubezwłasnowolnienie margrabiego d'Espard, jako jedyny sposób ubezpieczenia majątku od jego oplakanego zarządu, dzieci zaś od zgubnego wpływu ojca.

Zważywszy to, co powiedziano, oraz mając na względzie dołączone alegaty, powódka wnosi, wobec tego że poprzedzające fakty dowodzą jasno stanu niepoczytalności i szaleństwa margrabiego d'Espard, aby pan prezydent raczył nakazać, by, celem uzyskania ubezwłasnowolnienia tegoż, powyższą prośbę oraz załączone na jej poparcie akty przedłożono panu prokuratorowi królewskiemu oraz wydelegowano jednego z sędziów trybunału, by wygotował raport na dzień, który pan prezydent zechce łaskawie oznaczyć, iżby Trybunał postanowił wszystko w duchu swoich uprawnień i wymierzył sprawiedliwość...” etc.

— I oto — rzekł Popinot — zlecenie prezydenta, który deleguje mnie! No i co, czego chce ode mnie margrabina d'Espard? Wiem wszystko. Pójdę jutro z moim pisarzem do margrabiego, bo to mi się zupełnie nie wydaje jasne.

— Sluchaj, drogi wujaszku, nigdy cię nie prosiłem o najmniejszą przysługę, która by dotyczyła twoich funkcji sędziego; otóż, proszę cię, abys okazał pani d'Espard względy, na jakie zasługuje jej stanowisko. Gdyby przyszła tutaj, wysłuchałbyś jej?

— Tak.

— A więc, idź wysłuchaj jej u niej w domu: pani d'Espard to kobieta chorowita, nerwowa, delikatna, źle by się czuła w twojej norze. Pójdź tam wieczór, zamiast przyjąć zaproszenie na obiad, skoro prawo broni ci jeść i pić u swoich pod sądnych.

— A wam czy prawo nie broni przyjmować zapisów od waszych zmarłych? — rzekł Popinot, który dostrzegł odcień ironii na ustach siostrzeńca.

— No, wujaszku, chociażby po to aby dojść do jądra prawdy w tej historii, zgódź się na moją prośbę. Przyjdiesz jako sędzia śledczy, skoro rzecz nie wydaje ci się jasna. Do kata! przesłuchanie margrabiny jest nie mniej potrzebne niż przesłuchanie męża.

— Masz słuszność — rzekł sędzia — może to ona ma bzika. Pójdę.

— Zайдę po ciebie; zapisz w swoim notatniku: *Jutro wieczór, o dziewiątej, u pani d'Espard*. Dobrze — rzekł Bianchon, widząc, że wuj zanotował schadzke.



Nazajutrz wieczór, o dziewiątej, doktor Bianchon wdrapał się na zakurzone schody wuja i zastał go nad redakcją jakiegoś trudnego wyroku. Nie przyniesiono od krawca ubrania zamówionego przez Lavienne'a, tak że Popinot wziął stary zaplamiony frak i wystąpił jako ów Popinot *incomptus*<sup>14</sup>, widokiem swoim budzący śmiech wszystkich, którzy nie znali jego sekretnego życia. Bianchon osiągnął bodaj tyle, że doprowadził do ładu krawat wuja i zapiął mu frak; w ten sposób ukrył plamy, zapinając od prawej do lewej i wystawiając na front nową jeszcze część materii. Ale niebawem sędzia rozchylił frak na piersiach zakładając wedle zwyczaju ręce za kamizelkę. Frak nadmiernie pofałdowany z przodu i z tyłu, utworzył niby garb na grzbiecie, między kamizelką zaś a spodniami przestrzeń wolną, którą wyszła na wierzch koszula. Na swoje nieszczęście, Bianchon spostrzegł te okropności aż w chwili, gdy wkraczali do margrabiny.

Lekki szkic życia osoby, do której udawali się w tej chwili doktor i sędzia, jest tutaj konieczny dla zrozumienia konferencji, jaką Popinot miał z nią odbyć.

Pani d'Espard była od siedmiu lat bardzo w modzie w Paryżu, gdzie moda wywyższa i strąca osoby, które, na przemian to wielkie, to małe, to znaczy kolejno na świeczniku lub w cieniu, stają się później nieznoszonymi figurami, jak wszyscy upadli ministrowie i zdetronizowane wielkości. Uciążliwi przez swoje zmurszałe pretensje, owi dworacy przeszłości wiedzą wszystko, szkalują wszystko, i jak zrujnowani marnotrawcy są przyjaciółmi całego świata. Ponieważ panią d'Espard mąż opuścił w r. 1815, musiała tedy wyjść za mąż gdzieś w roku 1812. Dzieci jej musiały mieć jedno piętnaście, drugie trzynaście lat. W jaki sposób matka rodziny, mająca blisko trzydzieści trzy lat, była kobietą modną? Mimo że moda jest kapryśna i nikt nie może z góry wskazać jej ulubieńców, mimo iż często wywyższy jakąś bankierową lub inną osobę wątpliwej urody i smaku, zdaje się czymś nadnaturalnym, aby moda przyjęła obyczaje konstytucyjne, uznając *prezydenturę z wieku*. Tutaj moda postąpiła tak jak wszyscy: uznała panią d'Espard za młodą kobietę. Margrabina miała trzydzieści trzy lat w metryce, a dwadzieścia dwa wieczorem w salonie. Ale ile starań i sztuczek! Sztuczne pukle kryły jej skronie. Skazywała się w domu na półmrok, udając chorą, aby pozostać w dobroczynnym cieniu światła przepuszczonego przez muślin. Jak Diana de Poitiers, używała zimnej wody do kąpieli; jak ona również sypiała na włosianym materacu, z głową na skórzanych poduszkach, aby szanować włosy; jadła mało, piła tylko wodę, oszczędzała ruchów, aby uniknąć zmęczenia i wprowadziła klasztorną punktualność w najdrobniejsze sprawy życia. Ten surowy system posunęła pewna znakomita Polka aż do używania lodu zamiast wody i do jadań zimnych potraw; jest to osoba, która, za naszych czasów, łączy życie liczące już blisko wiek z zajęciami i obyczajami elegantki. Mając żyć tak długo jak Marion de Lorme, której biografowie dają sto trzydzieści lat, ex-wicekrólowa Polski posiada, licząc lat blisko sto, młodą duszę i młode serce, uroczą twarz, czarującą kibić; w rozmowie, której dowcip skrzy się jak iskry w ogniu, może porównywać dzisiejszych ludzi i książki z ludźmi i książkami osiemnastego wieku. Z Warszawy zamawia swoje czepeczki u Herbaulta. Ta wielka dama posiada entuzjazm młodej dziewczyny; pływa, biega jak student, umie się rzucić na kozetkę równie wdzięcznie jak młoda zalotnisia; drwi w oczy śmierci i śmieje się z życia. Ona, która zdumiewała niegdyś cesarza Aleksandra, może dziś zdumiewać cesarza Mikołaja wspańnością swoich balów. Jeszcze umie wycisnąć łzy jakiemuś zakochanemu młodzikowi, gdyż ma tyle lat, ile chce, i nieodparty sentyment gryzетки. Słowem, jest to istna bajka o wrózkach, o ile sama nie jest wrózką z bajki.

Czy pani d'Espard znała panią Zajączek? Czy chciała odtworzyć jej życie? Jak bądź się rzeczy mają, margrabina stanowiła dowód skuteczności tego trybu, płeć miała świeżą, czoło bez zmarszczek, ciało jej zachowało, jak ciało kochanki Henryka II, gibkość, świeżość, tajemne powaby, które ściągają i utrwalają miłość. Te tak proste zabiegi systemu wskazanego przez sztukę, przez naturę, może i przez doświadczenie, trafiły zresztą u niej na organizację, która wzmacniała ich skuteczność. Margrabinę cechowała głęboka obojętność na wszystko, co nie było nią; mężczyźni bawili ją, ale żaden nie dał jej owych wielkich wzruszeń, które wstrząsają głęboko obie natury i łamią jedną o drugą. Nie znała ani nienawiści, ani miłości. Obrażona, mściła się na zimno i spokojnie, ze smakiem wycekując sposobności zadowolenia złych uczuć, jakie zachowywała dla każdego, kto źle się

<sup>14</sup>*incomptus* (łac.) — nieporządny, zaniedbany, niewykwintny. [przypis edytorski]

zaznaczył w jej wspomnieniu. Nie krzątała się, nie rzucała się; mówiła tylko, bo wiedziała, że dwoma słowami kobieta może zabić trzech ludzi. Kiedy margrabia d'Espard ją porzucił, przyjęła to z zadowoleniem: wszak zabierał z sobą dwoje dzieci, które na razie nudziły ją, a później mogły szkodzić jej pretensjom! Jej najbliżsi przyjaciele, tak jak jej najmniej wytrwali zalotnicy, nie widząc koło niej żadnego z owych klejnotów *à la* Kornelia, które biegają po domu, głosząc bezwiednie wiek matki, brali ją wszyscy za młodą kobietę. Dwoje dzieci, którymi margrabina tak bardzo jakoby interesowała się w swoim pozwie, były, zarówno jak ich ojciec, nieznanie światu tak, jak przesmyk północno-wschodni nieznanym jest marynarzom. Pan d'Espard uchodził za oryginała, który rzucił żonę, nie mając przeciw niej najmniejszego powodu do skargi. Zostawszy, w dwudziestu dwu latach, panią siebie i panią swego majątku, który przedstawiał dwadzieścia sześć tysięcy franków renty, margrabina wahała się długo, zanim powzięła jakieś postanowienie i obrała kierunek życia. Mimo iż korzystała z wkładów, jakie jej mąż poczynił w pałacu, mimo iż zachowała meble, ekwipaże, konie, słowem urządzenie całego domu, wiodła zrazu ciche życie. Były to owe lata 1816, 1817 i 1818, epoka, w której rodziny odbudowywały się po klęskach spowodowanych przewrotami politycznymi. Margrabinie, która należała zresztą do jednego z najznamienitszych i najmożniejszych rodów dzielnicy Saint-Germain, krewni poradzili, aby się zamknęła w domu po musowej separacji, na jaką skazał ją niewytłumaczony kaprys męża.

W r. 1820 margrabina wyszła ze swego letargu; pojawiła się na dworze, na balach, i zaczęła przyjmować u siebie. Od r. 1821 do 1827 prowadziła wielki dom, wysunęła się na pierwszy plan smakiem i strojem, miała swój dzień, swoje godziny przyjęć; niebawem zasiadła na tronie, na którym przedtem błyszczwały wicehrabina de Beauséant, księżna de Langeais, pani Firmiani (ta, po swoim małżeństwie z panem de Camps, oddała berło w ręce księżnej de Maufrigneuse, której znowuż wydarła je pani d'Espard). Świat nie wiedział nic więcej o prywatnym życiu margrabiny. Zdawało się, że będzie długo trwać na horyzoncie paryskim, jak słońce bliskie zachodu, ale niezachodzące nigdy. Margrabina była w zażyłej przyjaźni z pewną księżną nie mniej sławną przez swą piękność, co przez swoje oddanie pewnemu księciu, wówczas będącemu w niełasce<sup>15</sup>, ale przywykłemu stale wchodzić jako władca w tworzące się rządy. Pani d'Espard była również przyjaciółką cudzoziemki, w której pobliżu znamienity i chytry dyplomata rosyjski<sup>16</sup> śledził bieg spraw. Wreszcie, pewna stara hrabina, nawykła tasować karty wielkiej gry politycznej, przybrała ją niejako za córkę. Dla każdego, kto umiał patrzeć, jasne było, że pani d'Espard, po głośnym i blahym panowaniu, jakie zawdzięczała modzie, gotuje się zagarnąć cichy, ale rzeczywisty wpływ. Salon jej nabierał znaczenia politycznego. Te słowa: *Co o tym mówią u pani d'Espard? Salon pani d'Espard jest przeciw takim a takim postanowieniom*, zaczynały się powtarzać w ustach dość wielkiej ilości głupców, aby dać jej garstce wiernych powagę stronnictwa. Kilku inwalidów politycznych, opatrzonych, pielęgnowanych przez nią, jak ów faworyt Ludwika XVIII, który nie mógł odzyskać znaczenia<sup>17</sup>, oraz dawni ministrowie bliscy powrotu do władzy, głosili pani d'Espard, że jest równie tęgą dyplomatką jak żona ambasadora rosyjskiego w Londynie. Kilka razy margrabina podsunęła posłom lub parom słowa, myśli, które z trybuny rozległy się w Europie. Często trafnie osądziła jakieś wypadki, co do których przyjaciele jej nie śmieli wydać sądu. Filary dworu przychodziły do niej wieczorem na wista. Przyjaźń jej zdawała się niewzruszona. Popierała swoich protegowanych z uporem, który dowodził że nie tyle zależy jej na zdobywaniu popleczników, ile na utrwaleniu swego mniemanego wpływu. Pobudką tego postępowania była jej dominująca namiętność: próżność. Zdobycze i przyjemności, na które tak łase są kobiety, dla niej były jedynie środkami: chciała żyć na wszystkich punktach największego kręgu, jaki może opisać życie. Wśród ludzi jeszcze młodych, do których należała przyszłość i którzy się cisnęli w jej salonach w dniu wielkich przyjęć, można było zauważyć pp. de Marsay, de Ronquerolles, de Montriveau, de la Roche-Hugon, de Sérisy, Ferraud, Maksyma de Trailles, p. de Listomère, dwóch Vandenesse, p. du Châtelet etc. Często przyjmowała kogoś, a nie przyjmowała jego żony, a władza jej była już dość silna,

<sup>15</sup>pewien książę wówczas będący w niełasce — Talleyrand. [przypis tłumacza]

<sup>16</sup>znamienity i chytry dyplomata rosyjski — Pozzo di Borgo. [przypis tłumacza]

<sup>17</sup>faworyt Ludwika XVIII, który nie mógł odzyskać znaczenia — Decazes. [przypis tłumacza]

aby narzucić te twarde warunki pewnym ambitnym osobnikom, takim jak dwaj sławni bankierzy rojalistyczni, de Nucingen i Ferdynand du Tillet. Tak dobrze wystudiowała silne i słabe strony paryskiego życia, że zawsze postępowała w sposób niedający żadnemu mężczyźnie najmniejszej nad nią przewagi. Można by ofiarować ogromną sumę za bilecik albo list, w którym się skompromitowała, a nie znalazłoby się takiego z pewnością. O ile wrodzona oschłość pozwalała jej grać tę rolę w sposób naturalny, fizjonomia jej była nie mniej szczęśliwa. Figurę miała wciąż młodą. Głos jej był na zawołanie gibki i świeży, jasny, twardy. Cudownie posiadała tajemnice owego arystokratycznego wzięcia, którym kobieta maże przeszłość. Margrabina знаła sztukę stwarzania olbrzymiej przestrzeni między sobą a człowiekiem, który sądził, że ma prawo do poufności po przygodnej chwili szczęścia. Imponujące jej spojrzenie umiało wszystkiemu zaprzeczyć. W rozmowie, wielkie i piękne uczucia, szlachetne decyzje zdawały się swobodnie płynąć z czystej duszy i serca; ale w istocie wszystko było w niej rachubą; zdolna była zozydzić człowieka niezręcznego w swoich kombinacjach, gdy ona sama spekulowała bez wstydu na rzecz swoich osobistych interesów. Starając się związać z tą kobietą, Rastignac odgadł w niej najsprawniejszy instrument, ale nie użył go jeszcze; nie tylko nie umiał nim poruszać, ale już dostał się w jego tryby. Ten młody *condotiere* inteligencji, skazany, jak Napoleon, na to, że musiał wciąż wydawać bitwę, wiedząc, że jedna klęska jest grobem jego fortuny, spotkał w swojej protektorce groźnego przeciwnika. Pierwszy raz w swoim burzliwym życiu rozgrywał poważną partię z partnerem godnym siebie. W zdobyciu pani d'Espard widział tekę ministra; toteż służył jej, zanim się nią posłużył: niebezpieczny początek.

Pałac pani d'Espard wymagał licznej służby; margrabina prowadziła znaczny dom. Wielkie przyjęcia były na parterze, ale margrabina mieszkała na pierwszym piętrze. Obszerna klatka schodowa wspaniale zdobiona, apartamenty w szlachetnym stylu, jakim niegdyś oddychał Wersal, zwiastowały ogromny majątek. Kiedy sędzia ujrzał, jak wielka brama otwiera się przed kabrioletem jego siostrzeńca, objął szybkim rzutem oka łożę odźwiernego, szwajcara, dziedziniec, stajnie, rozkład tej rezydencji, kwiaty strojące schody, wykwintną czystość poręczy, ścian, dywanów, i policzył lokajów w liberii, którzy, na odgłos dzwonu, wyszli do sieni. Oczy jego, które poprzedniego dnia zgłębiały w rozmównicy rozmiar nędzy pod zabłoconym łachmanem ludu, objęły z tą samą ścisłością umeblowanie i urządzenie salonów, aby w nich dostrzec nędze wielkości.

— Pan Popinot. — Pan Bianchon.

Te dwa nazwiska padły u wejścia do buduaru, gdzie się znajdowała margrabina: był to ładny pokoik, świeżo przemeblowany, wychodzący na ogród. W tej chwili pani d'Espard siedziała w jednym z owych dawnych fotelów *rococo*, które *Madame* wprowadziła w modę. Rastignac siedział koło niej na foteliku, w którym usadowił się jak *primo* włoskiej damy. Przy kominku stała jeszcze trzecia osobistość. Jak uczony doktor odgadł, margrabina była kobietą o temperamencie suchym i nerwowym; gdyby nie dieta, cera jej przybrałaby ów czerwony ton, jaki daje ustawiczna „gorącość humorów”; ale umiała podkreślić jeszcze swoją sztuczną białość barwami materii, którymi się otoczyła lub w które się ubierała. Kolory ciemnoczerwony, kasztanowaty, brązowy z odcieniem złota, były jej cudownie do twarzy. Buduar, skopiowany z buduaru pewnej modnej wówczas londyńskiej lady, miał obicia aksamitne koloru kasztanu; ale pamiętała o tym, aby wdzięcznym rysunkiem ornamentów złagodzić zbytnią pompę tego królewskiego koloru. Uczesana była jak młoda osoba, w dwa pasma kończące się puklami, które uwydatniały długi nieco owal jej twarzy; o ile okrągłość jest plebejska, o tyle kształt podłużny jest majestatyczny. Owe podwójne zwierciadła, które do woli wydłużają lub spłaszczają twarz, stanowią oczywisty dowód tego prawidła, odnośnie do fizjonomii. Widząc Popinota, który zatrzymał się w drzwiach jak wystraszone zwierzę, z wyciągniętą szyją, z lewą ręką za kamizelką, z prawą zbrojną zatłuszczonym kapeluszem, margrabina rzuciła Rastignacowi spojrzenie nabrzmiałe drwiną. Ciemięgowata nieco mina nieboraka tak dobrze godziła się z jego pocieszną postacią, z wystraszoną miną, że, widząc zatroskaną twarz Bianchona, który wstydił się za wuja, Rastignac nie mógł się wstrzymać od śmiechu, odwracając głowę. Margrabina przywitała ich skinieniem głowy i uczyniła mozolny wysiłek, aby się podnieść z fotela, na który opadła nie bez wdzięku, jak gdyby tłumacząc się ze swej niegrzeczności udaną niemocą.

Równocześnie jegomość, który stał między kominkiem a drzwiami, skłonił się lekko, przysunął krzesła doktorowi i sędziemu, następnie, kiedy usiedli, oparł się z powrotem plecami o ścianę i założył ręce. Słówek o tym człowieku. Istnieje za naszych czasów malarz, Decamps, który posiada w najwyższym stopniu sztukę zainteresowania tym, co odzwierciedla, czy to będzie kamień czy człowiek. Pod tym względem ołówek jego jest uczęszczy niż pędzel. Niech wyrysuje nagi pokój i zostawi miotłę pod ścianą, jeżeli zechce, zadrżycie; uwierzycie, że ta miotła była narzędziem zbrodni i że jest zmoczona krwią: to będzie miotła, którą wdowa Bancal sprzątała salę, gdzie zamordowano Fueledsa. Tak, malarz nastroszy miotłę niby człowieka w gniewie; zjeży ją tak jak gdyby to były wasze drżące włosy; uczyni z niej jakby łącznik między tajemną poezją swojej wyobraźni a poezją, która zrodzi się w waszej. Przeraziwszy was widokiem tej miotły, jutro narysuje inną, a przy niej kota śpiącego, ale tajemniczego w swoim śnie, i wmówi wam, że na tej miotle żona niemieckiego szewca jeździ na Łysą górę. Lub też będzie to jakaś spokojna miotła, na której zawiesi ubranie urzędnika Skarbu. Decamps ma w swoim pędzlu to, co Paganini miał w smyczku: udzielającą się siłę magnetyczną. Otóż, trzeba by wlać w swój styl ten przejmujący talent, ten chwyt ołówka, aby odmalować człowieka prostego, chudego i wysokiego, ubranego czarno, z długimi czarnymi włosami, który stał nic nie mówiąc. Człowiek ten miał twarz ostrą jak nóż; zimną, drapieżną, cera jego podobna była do wód Sekwany, kiedy jest mętna i kiedy toczy węgle jakiegoś zatopionego statku. Patrzył w ziemię, słuchał i sądził. W pozie jego było coś przerażającego. Była tam niby owa sławna miotła, której Decamps kazał oskarżać zbrodnię. Chwilami margrabina próbowała w czasie konferencji uzyskać jakąś milczącą wskazówkę, wlepiając na chwilę oczy w tego człowieka; ale, mimo całej żywości jej niemych pytań, on został poważny i sztywny jak posąg komandora.

Zacny Popinot, siedząc na rożku krzesła, na wprost ognia, z kapeluszem między kolanami, patrzył na złożone grubo kandelabry, na zegar, na cacka stojące na kominku, na materie i haft portier, słowem na wszystkie tak kosztowne drobiazgi, którymi otacza się modna kobieta. Z tej mieszczkańskiej kontemplacji wyrwała go pani d'Espard, która rzekła pieszczonym głosem:

— Panie sędzio, jestem panu winna tysiąc podziękowań...

„Tysiąc — pomyślał pocziwiec — to za wiele, nie wierzę ani w jedno”.

— ...za trud, jaki pan raczył...

„Raczył! — pomyślał. — Ona kpi sobie ze mnie”.

— ...raczył sobie zadać, odwiedzając biedną powódkę, zbyt cierpiącą, aby móc...

Tu sędzia przerwał margrabinie, obejmując ją spojrzeniem inkwizytora, którym zbadał stan zdrowia biednej powódki. Zdrowa jest jak rydz, powiedział sobie.

— Pani — odrzekł tonem pełnym szacunku — nie jest mi pani winna nic. Mimo iż mój krok nie jest w zwyczajach trybunału, nie powinniśmy niczego oszczędzać, aby w tego rodzaju sprawach dojść do poznania prawdy. Sąd nasz jest wówczas wyrazem nie tyle brzmienia praw, ile poczucia naszego sumienia. Czy szukam prawdy w moim gabinecie czy tutaj, byłem ją znalazł, wszystko będzie dobrze.

Podczas gdy Popinot mówił, Rastignac ścisnął dłoń Bianchona, a markiza skinęła w stronę doktora głową łaskawym gestem.

— Kto jest ten pan? — rzekł Bianchon do ucha Rastignaca, wskazując czarnego jegomościa.

— Kawaler d'Espard, brat margrabiego.

— Pański siostrzeniec powiedział mi — odparła margrabina sędziemu — jak bardzo pan jest zajęty; wiem także, że pan jest na tyle dobry, aby chcieć ukryć dobrodziejstwo dla oszczędzenia wdzięczności obdarowanym. Zdaje się, że ten sąd męczy pana bardzo. Ale bo też czemu nie podwoją liczby sędziów?

— Och, proszę pani, zdałoby się, zdało — rzekł Popinot — od przybytku głowa nie boli. Ale kiedy to będzie? jak mi tu włosy wyrosną!

Słyszając to zdanie, tak dobrze licujące z fizjonomią sędziego, kawaler d'Espard zmierzył go wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: „Z tym nieborakiem łatwo sobie damy rady”.

Margrabina spojrzała na Rastignaca, który się nachylił do niej.

— Oto — szepnął młody fircyk — jak wyglądają ludzie powołani, aby wyrokować o życiu i mieniu drugich.

Jak większość ludzi osiwiących w swoim rzemiośle, Popinot rad poddawał się swoim przyzwyczajeniom, płynącym zresztą z pracy myśli. Rozmowa jego trąciła sędzią śledczym. Lubił zadawać pytania, brać w krzyżowy ogień niespodzianych wniosków, wyciągać z ludzi więcej niż chcieli powiedzieć. Pozzo di Borgo zabawiał się podobno wyciąganiem tajemnic z osób, z którymi rozmawiał, aby je wikłać w swoje dyplomatyczne sieci; w ten sposób, z mimowolnego nałogu, dawał folgę swej wyostrzonej w tym duchu inteligencji. Skoro tylko Popinot zmacał, aby tak rzec, teren, na którym się znajdował, uznał, iż konieczne jest uciec się do najsubtelniejszych chytryści, do najlepiej zamaskowanych sztuczek praktykowanych w sądzie celem wydobycia prawdy. Bianchon siedział zimny i surowy, jak człowiek, który postanowił cierpieć w milczeniu; ale w duszy życzył wujowi, aby przydeptał tę kobietę, jak się przystępuje żmiję: porównanie, które mu nastroczała długa suknia, wygięta poza, długa szyja, mała główka i węzowe ruchy margrabiny.

— Drogi panie, jakkolwiek obcy jest mojej naturze egoizm, zbyt długo cierpię, abym nie miała pragnąć rychłego zakończenia tej sprawy. Czy mogę się prędko spodziewać szczęśliwego rozwiązania?

— Proszę pani, zrobię wszystko, co zależy ode mnie, aby to skończyć — rzekł do brodusznie Popinot. — Czy pani nie zna przyczyny, która spowodowała separację między panią a panem d'Espard — spytał sędzia, patrząc na margrabinę.

— Owszem — odparła, przybierając pozę, aby rozpocząć przygotowane opowiadanie. — W początkach roku 1816, pan d'Espard, który od trzech miesięcy zadziwiająco się zmienił, zaproponował mi, aby się przenieść do jego majątku Briançon, nie biorąc w rachubę mego zdrowia, które ten klimat zniszczyłby zupełnie, nie licząc się z moimi przyzwyczajeniami. Odmówiłam. Odmowa moja ściągnęła wymówki tak nieuzasadnione, że od tej chwili miałam podejrzenia co do stanu jego umysłu. Nazajutrz opuścił mnie, zostawiając mi swój pałac, swobodę rozrządzania mymi dochodami i zamieszkał przy ulicy *Montagne-Sainte-Geneviève*, zabierając dzieci.

— Przepraszam panią — przerwał sędzia — jakie były te dochody?

— Dwadzieścia sześć tysięcy funtów renty — odparła niedbale. — Poradziłam się natychmiast starego Bordin, co mam uczynić — dodała — ale zdaje się, że trudność odebrania ojcu wychowania dzieci jest zbyt wielka! Musiałam się pogodzić z tym, że zostanę sama w dwudziestym drugim roku, w wieku, w którym niejedna kobieta zdolna byłaby robić głupstwa. Czytał pan z pewnością moją prośbę; zna pan główne fakty, na których się opieram, aby uzyskać kuratelę nad panem d'Espard.

— Czy pani czyniła — spytał sędzia — jakieś kroki, aby odzyskać swoje dzieci?

— Tak, panie sędzio, ale wszystko na próżno. Bardzo jest ciężko dla matki być pozbawioną przywiązania dzieci, zwłaszcza kiedy mogą dać słodycze tak drogie wszystkim kobietom.

— Starszy musi mieć szesnaście lat — rzekł sędzia.

— Piętnaście! — odparła żywo margrabina.

Bianchon spojrział na Rastignaca. Pani d'Espard przygryzła sobie wargi.

— W czym pana obchodzi wiek moich dzieci?

— Proszę pani — rzekł sędzia niby to nie zdając sobie sprawy z wagi swoich słów — chłopak piętnastoletni i jego brat, liczący zapewne trzynaście lat, mają nogi i spryt, mogliby panią odwiedzać po kryjomu; jeżeli nie przychodzą, są posłuszni ojcu, aby zaś słuchać go do tego stopnia, muszą go bardzo kochać.

— Nie rozumiem pana — rzekła margrabina.

— Nie wie pani może — odparł Popinot — iż jej adwokat utrzymuje w pani skardze, że pani drogie dzieci są bardzo nieszczęśliwe u ojca.

Pani d'Espard odparła z czarującą niewinnością:

— Nie wiem, co mój adwokat wkłada mi w usta.

— Daruje mi pani te wnioski, ale Sprawiedliwość waży wszystko — ciągnął Popinot. — To, o co pytam, płynie z chęci dobrego poznania sprawy. Wedle pani, pan d'Espard opuścił panią pod bardzo blahym pozorem. Zamiast udać się do Briançon, dokąd chciał panią zabrać, został w Paryżu. Ten punkt nie jest jasny. Czy on znał tę Jeanrenaud przed małżeństwem z panią?

— Nie, proszę pana — odparła margrabina z odcieniem niezadowolenia, widocznym jedynie dla Rastignaca i dla kawalera d'Espard.

Drażniło ją, że znalazła się na śledztwie przed tym sędzią, którego zamierzała ugnieść w palcach; że jednak Popinot, dzięki swemu zaabsorbowaniu, minę miał wciąż jednak niemądram, przypisała tę jego indagację owej manii pytań, jaką Wolter dał swemu posłowi w *Prostaczku*.

— Rodzice moi — ciągnęła — wydali mnie za mąż w szesnastym roku za pana d'Espard, którego nazwisko, majątek, obyczaje odpowiadały temu, co moja rodzina życzyła sobie znaleźć w moim przyszłym mężu. Pan d'Espard miał wówczas dwadzieścia sześć lat, był *gentlemanem* w angielskim znaczeniu słowa; podobało mi się jego wzięcie, zdawało się, że jest bardzo ambitny, a ja lubię ludzi ambitnych — rzekła, spoglądając na Rastignaca. — Gdyby pan d'Espard nie był spotkał owej pani Jeanrenaud, jego przymioty, jego wiedza, wykształcenie, byłyby go doprowadziły, zdaniem jego przyjaciół, do zaszczytnego udziału w rządzie. Król Karol X (wówczas brat królewski) cenił go wysoko; parostwo, urząd dworski, wybitne stanowisko czekały go niezawodnie. Ta kobieta obłąkała go i zniszczyła przyszłość całej rodziny.

— Jakie były wówczas przekonania religijne pana d'Espard?

— Był — rzekła — i jest jeszcze człowiekiem wysoce nabożnym.

— Nie sądzi pani, aby pani Jeanrenaud mogła oddziaływać na niego w drodze mistycyzmu?

— Nie, proszę pana.

— Pani ma piękny pałac — rzekł nagle Popinot, wydobywając ręce zza kamizelki i wstając, aby rozsunać poły surduta i ogrzać się. — Ten budurek jest wcale wcale, wspaniałe te krzesła... Apartament luksusowy! Musi pani cierpieć w istocie, mieszkając tutaj, ze świadomością, że dzieci pani są źle pomieszczone, źle odziane i źle żywione. Dla matki nie wyobrażam sobie nic okropniejszego.

— Och, tak. Tak bardzo chciałabym dać jakąś przyjemność biednym malcom, których ojciec trzyma od rana do wieczora nad tym oplakany dziełem o Chinach.

— Wydaje pani piękne bale, bawiliby się na nich, ale nabraliby może narowów rozrzutności. Bądź co bądź, ojciec mógłby ich pani przysłać raz albo dwa razy w ciągu zimy.

— Przyprawia mi ich w Nowy Rok i w dzień moich urodzin. W te dni pan d'Espard robi mi tę łaskę, że zostaje z dziećmi u mnie na obiedzie.

— To bardzo osobliwe — rzekł Popinot z miną człowieka przekonanego. — Czy pani widziała kiedy tę Jeanrenaud?

— Jednego dnia szwagier mój, który, przez troskliwość o brata...

— A! — rzekł sędzia, przerywając — pan jest bratem pana d'Espard?

Kawaler skłonił się bez słowa.

— Pan d'Espard, który znał tę sprawę, zaprowadził mnie do Oratorium, dokąd ta kobieta chodzi na kazanie, bo to jest protestantka. Widziałam ją, nie ma nic pociągającego i podobna jest do rzeźniczki; bardzo tłusta, straszliwie zeszpecona ospą, ręce i nogi jak u mężczyzny, zezuje, słowem potwór.

— Niepojęte! — rzekł sędzia, robiąc wrażenie najgłupszego z sędziów całej Francji. — I ta baba mieszka blisko stąd, w pałacu! Nie ma już mieszczaństwa!

— W pałacu, gdzie jej syn poczynił szalone wkłady.

— Proszę pani — rzekł sędzia — ja mieszkam na przedmieściu Saint-Marceau, nie mam pojęcia o tego rodzaju wydatkach; co pani nazywa szalone wkłady?

— Ależ — rzekła margrabina — stajnia, pięć koni, trzy powozy, karoca, powóz, kabriolet.

— To tak słono kosztuje? — spytał sędzia ze zdziwioną miną.

— Potwornie — przerwał Rastignac. — Podobny tryb życia wymaga, na stajnię, na utrzymanie powozów i liberie, piętnastu do szesnastu tysięcy franków.

— Sądzi pani? — rzekł sędzia wciąż zdziwiony.

— Tak, co najmniej — odparła margrabina.

— A urządzenie pałacu też musiało słono kosztować?

— Więcej niż sto tysięcy franków — odparła margrabina, która nie mogła się wstrzymać od uśmiechu z trywialności sędziego.

— Sędziowie, proszę pani — podjął poczciwiec — są dość niedowierzający, płacą ich nawet za to; ja też taki jestem. Baron Jeanrenaud i jego matka musieliby w takim razie straszliwie złupić pana d'Espard. Sama stajnia kosztowałaby, wedle pani, szesnaście

tysięcy rocznie. Stół, służba, grubsze wydatki na dom, musiałyby wynosić dwa razy tyle, co wymagałoby pięćdziesięciu do sześćdziesięciu tysięcy rocznie. Czy pani myśli, że ci ludzie, niegdyś tak biedni, mogą mieć tak znaczny majątek? Milion daje ledwie czterdzieści tysięcy renty.

— Proszę pana, ci Jeanrenaud umieścili kapitały dane przez pana d'Espard w rencie państwowej wówczas, gdy stała na 60 czy 80. Sądzę, że ich dochód musi wynosić więcej niż sześćdziesiąt tysięcy. Syn ma zresztą bardzo ładną pensję.

— Jeżeli oni wydają sześćdziesiąt tysięcy franków — rzekł sędzia — ileż wydaje pani?

— Ja? — rzekła pani d'Espard — mniej więcej tyleż samo.

Kawaler drgnął, margrabina zaczerwieniła się, Bianchon spojrzął na Rastignaca; ale sędzia przybrał wyraz dobroduszny, który zwiódł panią d'Espard. Kawaler nie brał już żadnego udziału w rozmowie, ujrzał, że wszystko stracone.

— Tych ludzi, proszę pani — rzekł Popinot — można by pozwać przed sąd.

— Tak i ja sądziłam — rzekła margrabina zachwycona. — Zagrożeń policją poprawczą, weszliby w układy.

— Proszę pani — rzekł Popinot — kiedy pan d'Espard panią porzucił, czy nie dał pani pełnomocnictwa na prowadzenie i administrowanie pani majątkiem?

— Nie rozumiem celu tych pytań — rzekła żywo margrabina. — Zdaje mi się, że, gdyby pan miał na względzie położenie, w jakie mnie wtrąca szaleństwo mego męża, powinien by się pan zajmować nim, a nie mną.

— Proszę pani — rzekł sędzia — właśnie zmierzamy do tego. Zanim by trybunał powierzył pani, lub komu innemu, zarząd dóbr pana d'Espard (w razie poddania go kurateli), musi wiedzieć, w jaki sposób pani zawiadywała własnym majątkiem. Jeżeli pan d'Espard dał pani pełnomocnictwo, okazał pani zaufanie, i trybunał oceniłby tą okoliczność. Czy ma pani pełnomocnictwo? Czy może pani kupowała lub sprzedawała swoje nieruchomości, lokowała kapitały?

— Nie, panie, nie jest w zwyczaju domu Blamont-Chavry handlować — rzekła, żywo dotknięta w szlacheckiej dumie i zapominając o swej sprawie. — Moje dobra zostały nienaruszone, a pan d'Espard nie dawał mi pełnomocnictwa.

Kawaler przyłożył rękę do oczu, aby nie zdradzić żywego niezadowolenia, jakie sprawiała mu nieopatrność szwagierki, która grzebała się swymi odpowiedziami. Popinot szedł prosto do celu, mimo kołowań swego badania.

— Pani — rzekł sędzia, wskazując kawalera — ten pan jest z pewnością pani krewnym? możemy mówić szczerze w obecności tych panów.

— Niech pan mówi — rzekła margrabina zdziwiona tymi ostrożnościami.

— A więc, proszę pani, przyjmuję, że pani wydaje tylko sześćdziesiąt tysięcy na rok, a ta suma wyda się usprawiedliwiona każdemu, kto widzi pani stajnię, pałac, liczną służbę oraz przyzwyczajenia domu, którego zbytek, o ile mogę sądzić, przewyższa zbytek pani Jeanrenaud.

Margrabina skinęła głową.

— Otóż — podjął sędzia — jeżeli pani posiada tylko dwadzieścia sześć tysięcy franków renty, mogłaby pani, mówiąc między nami, mieć jakieś sto tysięcy franków długów. Trybunał byłby tedy w prawie sądzić, że w pobudkach, jakie panią skłaniają do żądania kurateli nad mężem, gra rolę interes osobisty, konieczność zapłacenia długów, gdyby... je... pani... miała. Rekomendacje z pewnych stron zainteresowały mnie pani sytuacją, niech ją pani dobrze rozpatrzy, niech się pani wypowiedzi. Byłby jeszcze czas (w razie gdyby moje przypuszczenia były słuszne) uniknąć skandalu nagany, którą trybunał miałby prawo wyrazić w motywach swojego wyroku, o ile by pani nie określiła swego położenia jasno i wyraźnie. Jesteśmy zmuszeni zgłębiać pobudki skarżących, zarówno jak słuchać obrony człowieka zagrożonego kuratelą; badać, czy strona skarżąca nie powoduje się namiętnością, czy nie działa pod wpływem chciwości, niestety aż nazbyt częstej...

Margrabina była jak na rozżarzonych węglach.

— ...toteż potrzebuję mieć wyjaśnienia w tym przedmiocie — ciągnął sędzia. — Ja, pani margrabino, nie chcę od pani rachunków; chciałbym jedynie wiedzieć, w jaki sposób nastarczyła pani trybowi życia wymagającemu sześćdziesięciu tysięcy renty, i to od kilku lat. Istnieją kobiety, które spełniają ten cud w swoim gospodarstwie, ale pani nie jest z liczby tych kobiet. Niech pani mówi, może pani mieć środki zupełnie godziwe,

darowizny królewskie, jakieś sumy czerpane w świeżo przyznanych indemnizacjach; ale w takim razie upoważnienie męża było konieczne, aby je zrealizować.

Margrabina milczała.

— Niech pani pomyśli — rzekł Popinot — że pan d'Espard może się bronić i że jego adwokat będzie miał prawo dochodzić, czy pani ma długi. Ten buduar jest świeżo umeblowany; w pani apartamentach są inne meble niż te, które pani zostawił w r. 1816 pan margrabia. Jeżeli, jak pani raczyła mi powiedzieć, urządzenie domu jest rzeczą kosztowną dla państwa Jeanrenaud, jest ono jeszcze kosztowniejsze dla pani, wielkiej damy. Jestem sędzią, ale jestem tylko człowiekiem: mogę się mylić, niech mnie pani oświeci. Niech pani pomyśli o obowiązkach, jakie nakłada mi prawo, o surowym śledztwie, jakiego wymaga, gdy chodzi o kuratelę nad ojcem rodziny, i to w sile wieku. Toteż daruje mi pani margrabina obiekcje, jakie mam zaszczyt jej przedłożyć i co do których łatwo będzie pani dać mi parę wyjaśnień. Kiedy kogoś bierze się pod kuratelę z przyczyny niepoczytalności, trzeba mu kuratora; kto byłby kuratorem?

— Jego brat — rzekła margrabina.

Kawaler skłonił się. Nastąpiła chwila milczenia, zenującego dla obecnych. Bawiąc się, sędzia odsłonił ranę tej kobiety. Dobroduszna twarz Popinota, z której margrabina, kawaler i Rastignac mieli ochotę się śmiać, nabrała w ich oczach swego prawdziwego wyrazu. Patrząc nań ukradkiem, wszyscy troje zrozumieli tajemnicę tych wymownych ust. Pocieszywszy się, sędzia stał się przenikliwym sędzią. Ścisłość, z jaką oszacował buduar, tłumaczyła się: aby przeniknąć ten zbytek, wyszedł z punktu złożonego słonia podtrzymującego zegar i przejrzał dno serca tej kobiety.

— Jeżeli margrabia d'Espard oszalał na punkcie Chin — rzekł Popinot, wskazując garnitur na kominku, widzę z przyjemnością, że produkty tego kraju i pani podobają się również. Ale to może panu margrabiemu zawdzięcza pani te śliczne drobiazgi chińskie — rzekł, wskazując kosztowne cacka.

Subtelne te drwiny spowodowały uśmiech Bianchona; Rastignac skamieniał, margrabina przygryzła cienkie wargi.

— Proszę pana — rzekła pani d'Espard — zamiast być obrońcą kobiety, której grozi strata majątku i dzieci, albo też podejrzenie, że działa na szkodę swego męża, pan mnie oskarża! pan podejrzewa moje intencje! Niech pan przyzna, że pańskie postępowanie jest dziwne...

— Pani — odparł żywo sędzia — ostrożność jaką rozwija trybunał w tego rodzaju sprawach, zesłałaby pani w każdym innym sędzi krytyka może mniej pobłażliwego ode mnie. Zresztą, czy pani przypuszcza, że adwokat pana d'Espard wdzije rękawiczki? Czy nie potrafi zatrzeć intencji, które mogą być czyste i bezinteresowne? Pani życie będzie należało do niego, będzie w nim szperał, w swoich dociekaniach nie zachowując pełnych szacunku względów, jakie ja mam dla pani.

— Dziękuję panu — rzekła ironicznie margrabina. — Przypuśćmy na chwilę, że mam trzydzieści tysięcy, pięćdziesiąt tysięcy franków długów; po pierwsze, to byłaby bagatelka dla domów d'Espard i Blamont-Chauvry; ale gdyby mój mąż był niespełna rozumu, czy to byłaby przeszkoda do oddania go pod kuratelę?

— Nie, pani — rzekł Popinot.

— Mimo że zadawał mi pan pytania z perfidią, której nie mogłam podejrzewać u sędziego, w kwestii, w której szczerowość wystarczyła, aby się dowiedzieć wszystkiego, i mimo że miałabym wszelkie prawo nie mówić panu już nic, odpowiem po prostu, że moje stanowisko w świecie, że wszystkie te wysiłki czynione dla zachowania stosunków, sprzeczne są z moimi upodobaniami. Zaczęłam życie od tego, że bardzo długo żyłam samotnie; ale dobro moich dzieci przeważało, zrozumiałam, że powinnam zastąpić im ojca. Przyjmując moich przyjaciół, podtrzymując wszystkie te stosunki, zaciągając długi, przygotowałam im świetne kariery, w których znajdują pomoc i oparcie; aby mieć to, co moi chłopcy nabyli w ten sposób, wielu spekulantów, dygnitarzy lub bankierów zapłaciłoby chętnie tyle, ile mnie to kosztowało.

— Oceniam pani poświęcenie — odparł sędzia. — Zaszczyt przynosi ono pani; nie potępiam w niczym pani postępowania. Sędzia należy do wszystkich, musi wszystko znać, trzeba mu wszystko zważyć.



Spryt margrabiny oraz jej bystrość w ocenianiu ludzi, pozwoliły jej odgadnąć, że na sędziego Popinot nie zdołają mieć wpływu żadne względy. Liczyła na jakiegoś ambitnego karierowicza, spotkała człowieka z sumieniem. Natychmiast pomyślała o innych środkach zapewnienia sobie wygranej. Lokaje wnieśli herbatę.

— Czy pani życzy sobie jeszcze udzielić jakich wyjaśnień? — zapytał Popinot, widząc te przygotowania.

— Panie sędzio — odrzekła wyniośle — niech pan pełni swój obowiązek, niech pan przesłucha pana d'Espard. Pożałuje mnie pan, jestem tego pewna...

Podniosła głowę, patrząc na Popinota z impertynencką dumą. Pocziwina skłonił się z szacunkiem.

— Miły jest twój wujaszek — rzekł Rastignac do Bianchona. — Czyż on nic nie rozumie, czy nie wie, co to jest margrabina d'Espard, czy nie zna jej wpływów, jej podziemnej władzy? Jutro będzie miała na obiedzie ministra sprawiedliwości...

— Mój drogi, cóż ja na to poradzę — rzekł Bianchon — czy cię nie uprzedzałem? To nie jest człowiek wygodny.

Doktor musiał pożegnać margrabinę i jej niemego kawalera, aby bieć za Popinotem, który, niezdolny tkwić w dwuznacznej sytuacji, dreptał przez salony.

— Ta kobieta ma trzysta tysięcy długów — rzekł sędzia, wsiadając do kabrioletu siostrzeńca.

— Co wuj myśli o tej sprawie?

— Ja — rzekł sędzia — nie mam nigdy opinii, zanim wszystkiego nie zbadam. Jutro, wcześniej rano, wezwę do siebie panią Jeanrenaud do mego gabinetu, na czwartą, aby zażądać od niej wyjaśnień co do faktów, które jej tyczą, bo ona jest tu wystawiona na sztych.

— Chciałbym bardzo znać koniec całej tej sprawy.

— Ech, Boże, czy ty nie widzisz, że margrabina jest narzędziem tego wysokiego chudego, który nie pisnął ani słówka. Jest w nim coś z Kaina, to Kain, który szuka swojej maczugi w trybunale, gdzie, na nieszczęście, mamy kilka mieczów Samsona.

— Och! Rastignac — wykrzyknął Bianchon — co ty robisz w tej jaskini?

— Przywykliśmy widywać te małe spiski rodzinne: nie mija rok, aby nie oddalono jakiegoś wniosku o kuratelę. W naszym społeczeństwie tego rodzaju próby nie okrywają hańbą, podczas gdy wysyłamy na galery biedaka, który stłukł szybę dzielącą go od niecułki złota. Nasz kodeks nie jest bez wad.

— Ale fakty, które zawiera ta skarga?

— Mój chłopcze, czy ty nie znasz jeszcze romansów, jakie klienci opowiadają swoim adwokatom? Gdyby adwokaci mieli przedstawiać tylko prawdę, nie opędziliby kosztów kancelarii.

Nazajutrz, o czwartej popołudniu, gruba paniusia, dosyć podobna do beczki, na którą by włożono suknię i pasek, poczęła się i sapiąc, drapała się na schody sędziego Popinot. Z wielkim trudem wygramoliła się z zielonej landary, z którą jej było cudownie do twarzy: niepodobna było sobie wyobrazić tej kobiety bez landary, ani landary bez tej kobiety.

— To ja, drogi panie — rzekła, zjawiając się w drzwiach gabinetu — ja, wdowa Jeanrenaud, którą pan wezwał ni mniej ni więcej jak jaką złodziejkę.

Te pospolite słowa wyrzeczone były pospolitym głosem, przerywane astmatycznym gwizdem i zakończone napadem kaszlu.

— Kiedy przechodzę przez wilgotne miejsca, nie ma pan pojęcia, panie sędzio, jak mi jest niedobrze. Niedługo przyjdzie człowiekowi wyciągnąć kopytka, z przeproszeniem pana sędziego. Ale jestem.

Sędzia zdumiał się na widok tej mniemanej marszałkowej d'Ancre. Pani Jeanrenaud miała twarz pocętkowaną mnóstwem dziurek, bardzo czerwoną, z niskim czołem, z dartym nosem, twarz okrągłą jak kula; bo u tej zacnej kobiety wszystko było okrągłe. Miała żywe oczy wieśniaczki, minę dobroduszną, jowialne wysłowienie, ciemne włosy przytrzymane siatką pod zielonym kapeluszem strojnym w bukiet sztucznych kwiatów. Jej obfite piersi budziły śmiech, nasuwając obawę komicznej eksplozji przy każdym napadzie kaszlu. Grube nogi były z tych, które każą ulicznikom paryskim mówić o kobiecie, że jest zbudowana na palach. Wdowa miała zieloną suknię przybraną szynszylą,

robiło to wrażenie plamy smaru na welonie panny młodej. Wszystko wreszcie było u niej w zgodzie z jej wyrażeniem „wyciągnąć kopytka”.

— Proszę pani — rzekł Popinot — jest pani podejrzana, że pani oddziaływała na margrabiego d'Espard, aby wydobyć od niego znaczne sumy.

— Czego, czego? Oddziaływała! ależ, drogi panie, pan jest godny człowiek, zresztą, jako sędzia, musi pan mieć olej w głowie, niech pan na mnie spojrzysz. Niech pan powie, czy jestem zdolna na kogokolwiek oddziaływać. Nie mogę związać tasiemki u trzewików, ani się schylić. Dwadzieścia lat już będzie, Bogu dzięki, jak nie mogę włożyć gorsetu pod groźbę nagłej śmierci. Byłam cienka jak szparąg w siedemnastym roku, i ładna: mogę to panu dziś powiedzieć. Wyszłam tedy za mego Jeanrenaud, zacny człowiek, przewoźnik promów z solą. Miałam z nim syna; ładny chłopak, to moja duma; nie chwalać się, to najpiękniejsza moja robota. Mój mąż był żołnierzem, który przynosił zaszczyt Napoleonowi: służył w gwardii cesarskiej. Niestety, śmierć mego starego, który utonął, poruszyła we mnie humory, dostałam ospy, dwa lata nie ruszałam się z pokoju i wyszłam gruba, jak mnie pan widzi, brzydka na wiek wieków i nieszczęśliwa jak ten kamień... To moje „oddziaływanie”.

— Ależ, proszę pani, jakie pobudki może mieć pan d'Espard, aby pani dawać sumy...

— Olbrzymie, panie sędzio, niech pan powie, na to zgodzę się chętnie; ale co do pobudek, nie mam prawa ich zdradzić.

— Źle pani czyni. W tej chwili, rodzina, słusznie zaniepokojona, skarży margrabiego...

— Boże litosierny! — wykrzyknęła dobra kobieta, wstając żywo — czyżby mu groziło, że go będą nękać z mojego powodu? Najlepszy z ludzi, człowiek, który nie ma równego w świecie! Nim by go miało spotkać najmniejsze zmartwienie, śmiem powiedzieć, nim by mu miał włoszek jeden spaść z głowy, raczej oddalibyśmy wszystko, panie sędzio. Niech pan to zapisze w swoich papierach. Boże litosierny, lecę powiedzieć synkowi, co się święci. A to ładna ładność!

I korpulentna dama wstała, wyszła, stoczyła się po schodach i znikła.

„Ta nie kłamie — rzekł w duchu sędzia. — Ano, dowiem się wszystkiego jutro, bo jutro pójdę do margrabiego d'Espard”.

Ludzie, którzy minęli wiek, gdy człowiek rozrzuca swoje życie na prawo i lewo, znają wpływ, jaki na bieg doniosłych wypadków wywierają zdarzenia na pozór obojętne i nie zdziwią się wadze, jaką przywiązujemy do następującego faktu: nazajutrz, Popinot miał katar, chorobę zresztą bez znaczenia. Nie mogąc przewidzieć ważności odwłoki, sędzia, który miał trochę gorączki, został w domu i nie poszedł przesłuchać margrabiego d'Espard. Ten stracony dzień był w owej sprawie tym, czym w dniu zwanym *journée des Dupes* była filiżanka bulionu Marii Medycejskiej, która to filiżanka bulionu, opóźniając jej widzenie z Ludwikiem XIII, pozwoliła Richelieuowi przybyć wcześniej do Saint-Germain i pochwytać swego królewskiego jeńca. Zanim udamy się z sędzią i jego pisarzem do margrabiego d'Espard, trzeba nam będzie rzucić okiem na dom, na mieszkanie i na interesy tego ojca rodziny, przedstawionego za wariata w skardze jego żony.

Spotyka się tu i ówdzie, w starych dzielnicach Paryża, budowle odslaniające archeologowi niejaką chęć ozdobienia miasta oraz owo zamilowanie własności, które każe dbać o trwałość budowli. Dom, w którym mieszkał wówczas pan d'Espard, przy ulicy *Montagne-Sainte-Genève*, był to jeden z owych starożytnych budynków z ciosowego kamienia, o architekturze niepozbawionej pewnego przepychu; ale czas poczercił kamień oraz skaził zewnętrzny i wewnętrzny wygląd domu. Skoro dostojne osobistości, które mieszkaly niegdyś w dzielnicy uniwersyteckiej, opuściły ją wraz z wielkimi instytucjami duchownymi, starożytna ta siedziba przygarnęła rzemiosła i mieszkańców, dla których nigdy nie była przeznaczona. W zeszłym wieku drukarnia splugawiła posadzki, pobrudziła okna, poczerzyła ściany, zniszczyła urządzenia wewnętrzne. Ten pański dom, niegdyś pałac kardynała, był dziś wydany pokątnym lokatorom. Styl architektury wskazywał, że go zbudowano za panowania Henryka III, Henryka IV i Ludwika XIII, w epoce, gdy budowano w okolicy pałace Mignon, Serpente, pałac księżnej Palatynatu i Sorbonę. Starzec jakiś przypominał sobie, że słyszał w zeszłym wieku, jak go nazywano *palacem Duperron*. Było prawdopodobne, że ten znamienity kardynał zbudował go lub tylko w nim mieszkał. Jest, w istocie, w dziedzińcu ganek o kilku stopniach, którym wchodzi się do

domu, schodzi się zaś do ogrodu drugim gankiem zbudowanym w środku wewnętrznej fasady. Mimo uszkodzeń, zbytek rozwinięty przez architekta w balustradach tych dwóch ganków zwiastuje naiwną intencję utrwalenia nazwiska właściciela; rodzaj rzeźbionego kalamburu, na jaki pozwalali sobie często nasi przodkowie. Wreszcie, na poparcie tego dowodu, archeologowie mogą dojrzeć w tympanach zdobiących dwie główne fasady jakiś ślad sznurów kardynalskiego kapelusza.

Margrabia d'Espard zajmował parter, z pewnością dlatego, aby mieć używalność ogrodu, który mógł uchodzić w tej dzielnicy za obszerny i znajdował się od południa: dwie korzyści, których nieodzownie wymagało zdrowie jego dzieci. Położenie domu przy ulicy, której nazwa świadczy o bystrym spadku, sprawiało, iż na parterze tym, dość wysokim, nie było nigdy wilgoci. Pan d'Espard najął zapewne swoje mieszkanie za bardzo skromną sumę, czynsze bowiem były niskie w epoce, gdy osiadł w tej dzielnicy, aby być w pobliżu szkoły i czuwać nad wychowaniem synów. Zresztą stan, w jakim wziął ten lokal, gdzie wszystko trzeba było naprawiać, musiał skłonić gospodarza do ustępstw. Pan d'Espard mógł tedy, nie ściągając na siebie zarzutu szaleństwa, poczynić w mieszkaniu nieco wkładów, aby się urządzać przyzwoicie. Wysokość pokoi, ich rozmieszczenie, boazerie, z których zostały jedynie ramy, deseń sufitów, wszystko oddychało ową wielkością, jaką Kościół wycisnął na rzeczach podjętych lub stworzonych przez siebie, a którą artyści odnajdują dziś w najdrobniejszych pozostałych fragmentach, choćby to była tylko książka, strój, ściana biblioteki lub fotel. Malowania, zarządzane przez margrabiego, utrzymane były w owych tonach umiłowanych Holandii, dawnemu mieszczaństwu paryskiemu, a które dziś kuszą pędzel rodzajowych malarzy. Obicie było z gładkiego papieru, harmonizującego z malaturą. W oknach firanki z materii niedrogiej, ale dobrej tak, aby była w zgodzie z całością. Mebli niewiele, ale rozmieszczonych ze smakiem. Ktokolwiek wchodził do tego mieszkania, nie mógł się oprzeć jakiemuś miłemu i kojącemu uczuciu, zbudzonemu głębokim spokojem, ciszą, która tam panowała, dyskrecją i jednością koloru. Pewna wytworność szczegółów, nieskazitelna czystość mebli, doskonała harmonia między ramą a mieszkańcami, wszystko składało się na to uczucie słodczy. Mało kto był dopuszczony do tych apartamentów zamieszkałych przez margrabiego i jego dwóch synów, których życie mogło się zdawać tajemnicze całemu sąsiedztwu.

W części mieszkania wychodzącej na ulicę, na trzecim piętrze, znajdowały się trzy wielkie pokoje, w stanie zniszczenia i komicznego niemal огоłocenia, w jakim je zostawiła drukarnia. Te trzy pokoje, przeznaczone na produkcję *Historii Chin w obrazach*, były urządzone tak, aby mogły pomieścić biuro, magazyn i gabinet, w którym spędzał pan d'Espard część dnia; po śniadaniu bowiem, aż do czwartej, margrabia zamykał się w gabinecie na trzecim piętrze, aby czuwać nad swoim wydawnictwem. Osoby, które doń zachodziły w odwiedzinach, zastawały go przeważnie tam. Często, wróciwszy ze szkoły, dzieci udawały się do tego biura. Pokoje na parterze tworzyły sanktuarium, gdzie ojciec i synowie przebywali od obiadu. Życie rodzinne margrabiego było tedy bardzo zamknięte. Za całą służbę miał kucharkę, staruszkę z dawną przywiązaną do domu, oraz czterdziestoletniego lokaja, jeszcze z kawalerskich czasów margrabiego. Niania dzieci została przy nich. Drobiazgowo starania, o jakich świadczył wygląd apartamentu, dowodziły poczucia porządku, macierzyńskiej czułości tej kobiety dla całego domu, dla pana i jego dzieci. Tych troje zacnych ludzi — wszyscy poważni i mało udzielający się — zdawało się pojmować myśl, jaka przyświecała życiu margrabiego. Kontrast między ich obyczajem a nawykami większości lokajów, stanowił osobliwość, która dawała temu domowi coś tajemniczego i wiele się przyczyniła do potwarzy, jakim sam pan d'Espard dawał pokarm. Chwalebne pobudki skłoniły go do unikania znajomości z innymi mieszkańcami domu. Podejmując wychowanie chłopców, pragnął ich ustrzec od wszelkiej styczności z obcymi. Może chciał także uniknąć nudy sąsiedzkich obowiązków. W człowieku jego urodzenia, w epoce, gdy liberalizm skupiał się zwłaszcza w *Dzielnicy Łacińskiej*, postępowanie to musiało budzić przeciw margrabiemu drobne namietności, uczucia, których głupotę można porównać jedynie z ich małością: stąd plotki kuchenne, jadowite sąsiedzkie komentarze, o których pan d'Espard i jego służba nie mieli pojęcia. Jego służący uchodził za jezuitę, kucharka za szelmę, bona porozumiewała się z panią Jeanrenaud, aby obłupić wariata! Wariatem był margrabia. Lokatorzy uznali stopniowo za szaleństwo mnóstwo rzeczy spostrzeżonych u pana d'Espard i przesianych przez sito ich sądów.

Nie wierząc w powodzenie jego wydawnictwa o Chinach, wmówili w gospodarza domu, że pan d'Espard jest bez grosza, skoro, przez zapomnienie częste u ludzi zajętych, dopuścił do tego, że poborca przesłał mu pozew o zapłacenie zaległej raty. Właściciel zażądał wówczas, z dniem pierwszego stycznia, czynszu, przesyłając kwit, który odzwierciana z umysłu przetrzymała. Piętnastego doręczano nakaz płatniczy, odzwierciana oddała go późno panu d'Espard, który wziął ten akt za nieporozumienie, nie przypuszczając złej woli ze strony człowieka, u którego mieszkał od dwunastu lat. Dokonano u margrabiego zajęcia, w chwili właśnie, gdy jego służący udał się z komornem do właściciela. Zajęcie to, złośliwie opowiedziane osobom, z którymi był wówczas w stosunkach wydawniczych, zaniepokoiło niektórych wątpiących już wprzód o wypłacalności pana d'Espard, z przyczyny olbrzymich sum, które (jak mówiono) wyludzali od niego Jeanrenaud wraz z matką. Podejrzenia lokatorów, wierzycieli i właściciela były zresztą niemal usprawiedliwione ścisłą oszczędnością, jaką margrabia stosował w swoim trybie życia. Żył tak, jak człowiek zrujnowany. Służba jego płaciła gotówką wszystkie potrzeby i postępowała tak, jak ludzie, którzy nie chcą kredytu; gdyby chcieli wziąć cokolwiek na słowo, może by im odmówiono, tak bardzo oszczercze plotki zyskały wiarę w sąsiedztwie. Często kupcy lubią kundmanów, którzy im płacą źle, ale z którymi są w stałych stosunkach, podczas gdy nienawidzą wybornych klientów, którzy onieśmielają ich swą dumą. Ludzie są tacy. Prawie we wszystkich klasach używają lichym ludziom, którzy im schlebiają, względów i łask, odmawianych ludziom wyższym, których wyższość rani ich zawsze, bez względu na sposób, w jaki się objawia. Sklepiarz, który pyskuje na dwór, ma swoich dworaków.

Tryb życia margrabiego i jego dzieci musiał nastroić nieprzychylnie sąsiadów i doprowadzić ich nieznacznie do tego stopnia niechęci, w którym ludzie nie cofają się już przed podłością, byle zaszkodzić wrogowi, którego sobie wyroili. Pan d'Espard był szlachcicem, żona jego była wielką damą: dwa wspaniałe typy, tak rzadkie we Francji, że można by policzyć osoby będące pełnym ich wcieleniem. Te dwa typy wspierają się na zasadach, na wierzeniach niejako wrodzonych, na przyzwyczajeniach nabranych od dzieciństwa. Aby wierzyć w czystą krew, w uprzywilejowaną rasę, czyż nie trzeba się wznieść myślą ponad innych, czy nie trzeba, od samego urodzenia, móc zmierzyć przestrzeń, jaka dzieli patrycjuszów od ludu? Aby rozkazywać, trzeba nie znać sobie równych. Czyż nie trzeba wreszcie, aby wychowanie wszczepiło idee, które natura tchnie w wielkich ludzi, wkładając im na czoło koronę, zanim matka zdąży złożyć na nim pocałunek? Te pojęcia i to wychowanie nie są już możliwe we Francji, gdzie od czterdziestu lat przypadek przywłaszczył sobie prawo czynienia z ludzi szlachty, kąpiąc ich we krwi bitew, złocąc ich chwałą, wieńcząc aureolą geniuszu; gdzie zniesienie majoratów, rozdrabnianie dziedzictwa, zmusza szlachcica do zajmowania się swoimi sprawami zamiast sprawami państwa, i gdzie wyniesienie osobiste może być tylko nabyte po latach cierpliwej pracy: era zupełnie nowa. Brany jako szczątek owego wielkiego ciała nazwanego *feudalizmem*, pan d'Espard zasługiwał na podziw i szacunek. Jeżeli się uważał za wyższego krwią od innych, wierzył również we wszystkie obowiązki szlachectwa; posiadał cnoty i siłę, jakich ono wymaga. Wychował synów w swoich zasadach i udzielił im od kolebki religii swojej kasty. Głębokie poczucie swojej godności, duma z nazwiska, pewność, że są wielcy przez samych siebie, zrodziły w nich królewską dumę, odwagę rycerzy i opiekuńczą dobroć kasztelanów, panów zamku; formy ich będące w harmonii z ich pojęciami, formy, które wydałyby się urocze u książąt krwi, drażniły cały światek z ulicy *Montagne-Sainte-Genève*, krainy równości, gdzie zresztą uważano pana d'Espard za bankruta i gdzie, od najmniejszego do największego, wszyscy odmawiali szlachectwa szlachcicowi bez pieniędzy, z tej samej racji, z jaką każdy pozwala je uzurpować zbogaconym mieszczuchom. Tak więc, brak styczności między tą rodziną a innymi osobami istniał zarówno pod względem moralnym jak fizycznym.

U ojca jak u synów, zewnętrzna postać i dusza harmonizowały z sobą. Pan d'Espard, wówczas liczący około pięćdziesięciu lat, mógł służyć za typ arystokracji rodowej w XIX wieku. Był to szczupły blondyn; rysunek twarzy oraz jej ogólny charakter miały ową wrodzoną dystynkcję, która zwiastuje szlachetność uczuć; ale miała ona wyraz rozmyślnego chłodu, który zbyt nakazywał szacunek. Jego orli nos był nieco skrzywiony na końcu, lekka nieprawidłowość nie bez wdzięku; niebieskie oczy, wysokie i wydatne czoło, na którym linia brwi tworzyła gęsty sznurek zacinający oczy, zdradzały duszę prawą, zdolną do wytrwałości, nieskazitelną uczciwość, ale dawały zarazem dziwny wyraz jego

fizjonomii. To wysklepienie czoła mogło istotnie czynić wrażenie jakiejś odrobiny szaleństwa, a jego gęste zrośnięte brwi podkreślały jeszcze ten dziwaczny pozór. Ręce miał białe i arystokratycznie wypielęgnowane, stopy wąskie, wysokie na podbiciu. Jego jak gdyby wahająca się mowa nie tylko w wymowie trąciła jękami, ale i w wyrażaniu myśli. Myśli jego i słowa budziły w słuchaczu wrażenie człowieka, który krąży, który — aby użyć pospolitego słowa — *maca*, dotyka wszystkiego, przerywa sobie gestami i niczego nie kończy. Ta wada, czysto zewnętrzna, stanowiła kontrast z rysunkiem ust pełnych stanowczości, ze zdecydowanym charakterem całej fizjonomii. Chód, trochę nierówny, miał coś z jego sposobu mówienia. Oryginalności te przyczyniały się do potwierdzenia jego rzekomego szaleństwa. Mimo swego wykwintu, margrabia był, co do własnej osoby, systematycznie oszczędny; nosił parę lat ten sam surdut, czyszczony nadzwyczaj pilnie przez starego lokaja.

Co się tyczy chłopców, obaj byli piękni i obdarzeni wdziękiem, który nie wykluczał wyrazu arystokratycznej wzgardy. Mieli ową żywą pleć, świeżość spojrzenia, przejrzystość cery, która świadczy o czystych obyczajach, regularnym trybie życia, systematyczności pracy i zabawy. Obaj mieli czarne włosy i niebieskie oczy, nos skrzywiony nieco jak u ojca; ale może po matce wzięli ową godność w słowie, spojrzeniu i wzięciu dziedziczną w rodzie Blamont-Chauvry. Głos ich, świeży jak kryształ, posiadał wymowę i miękkość; był to głos, który kobieta chciałaby usłyszeć, uczuwszy płomień ich spojrzeń. Ci dumni chłopcy zachowali jakąś skromność, niewinną surowość, jakieś *noli me tangere*<sup>18</sup>, które później mogłoby się zdać wyrachowaniem, tak bardzo wzięcie to budziło chęć poznania ich. Starszy, hrabia Klemens de Negrepelisse zaczynał szesnasty rok. Od dwóch lat porzucił zgrabną angielską kurteczkę, którą zachował jeszcze jego brat, wicehrabia Kamil d'Espard. Hrabia, który już od pół roku nie uczęszczał do kolegium Henryka IV, ubrany był jak młody człowiek kosztujący pierwszych rozkoszy elegancji. Ojciec nie chciał go skazywać bez potrzeby na rok filozofii; starał się dać jego wiadomościom kręgosłup w studium transcendentalnej matematyki. Równocześnie, margrabia uczył go języków wschodnich, prawa dyplomatycznego Europy, heraldyki i historii; ale historii w jej źródłach, dokumentach, w autentycznych pomnikach, w zbiorze edyktów. Kamil przeszedł świeżo do *retoryki*.

Dzień, który sędzia Popinot obrał na przesłuchanie pana d'Espaird, był to czwartek, dzień wolny. Zanim ojciec się obudził koło dziewiątej, chłopcy bawili się w ogrodzie. Klemens słabo się bronił naleganiom brata, który chciał iść pierwszy raz do strzelnicy i prosił Klemensa, aby go poparł u ojca. Wicehrabia nadużywał zawsze nieco swojej słabości, choć lubił, dla zabawy, walczyć z bratem. Zaczęli się kłócić i bić, bawiąc się jak uczniaki. Uganiając po ogrodzie, hałasem swoim zbudzili ojca, który ukazał się w oknie, niespostrzeżony przez nich w zapale walki. Margrabia patrzył z przyjemnością na chłopców, którzy oplatali się o siebie jak węże, z buziakami zaczerwienionymi wysiłkiem. Twarze ich były białe i różowe, oczy rzucały błyskawice, członki ich skręcały się jak struny w ogniu; padali, podnosili się, zrywali jak dwaj atleci w cyrku, dając widokiem swoim ojcu szczęście, które nagrodziłoby najżywsze zgryzoty burzliwego życia. Dwie osoby, jedna na drugim piętrze, druga na pierwszym, wyglądały na ogród i oznajmiły zaraz, że stary wariat bawi się tym, aby kazać bić się z sobą dzieciom. Natychmiast liczne głowy ukazały się w oknach: margrabia spostrzegł to, rzekł coś synom, którzy natychmiast wdrapali się na okno i wskoczyli do jego pokoju, po czym Klemens uzyskał upragnione przez Kamila pozwolenie. A cały dom trząsł się od nowego szaleństwa margrabiego.

Kiedy Popinot zjawił się koło południa w towarzystwie swego pisarza i spytał w bramie o pana d'Espard, odźwierna zaprowadziła go na trzecie piętro, opowiadając, że pan d'Espard, nie dalej niż dziś rano, kazał się bić swoim dzieciom i śmiał się — co za potwór! — widząc, jak młodszy ugryzł starszego do krwi: z pewnością chce, aby się pouśmiercali.

— Niech go się pan spyta czemu! — dodała — sam nie wie.

W chwili gdy odźwierna wydawała ten ostateczny wyrok, sędzia znajdował się na trzecim piętrze, na wprost drzwi oblepionych afiszami oznajmiającymi kolejne ukazywanie się zeszytów *Historii Chin w obrazach*. Te zablocone schody, ta brudna poręcz, te drzwi, na których drukarnia zostawiła swoje piętno, to okno poszczerbione i te sufity, na

<sup>18</sup>*noli me tangere* — nie dotykaj mnie (por. w Biblii, J 20:17). [przypis edytorski]

których chłopcy drukarscy malowali potworności dymiącym płomieniem swoich świec, stopy papierów i śmieci nagromadzonych po kątach rozmyślnie albo z niedbalstwa, słowem, cały ten obraz tak dobrze godził się z faktami przytoczonymi przez margrabinę, że, mimo swej bezstronności, sędzia mimo woli uwierzył.

— Jest pan na miejscu; oto *fabryka*, gdzie Chińczyki zjadają tyle, ile by starczyło na wyżywienie całej dzielnicy. Pisarz popatrzał na sędziego z uśmiechem; Popinot z pewnym trudem zachował powagę. Weszli do pierwszego pokoju, gdzie znajdował się starszy człowiek, pełniący widocznie obowiązki równocześnie woźnego, subiekta i kasjera. Starzec ten, był to totumfacki Chin. Długie półki, na których piętrzyły się wydane już zeszyty, stroiły ściany tego pokoju. W głębi drewniane przepierzenie z kratką i zielonymi firankami tworzyło gabinet. Otwór przeznaczony na przyjmowanie lub wydawanie pieniędzy wskazywał siedzibę kasy.

— Pan d'Espard? — rzekł Popinot, zwracając się do tego człowieka ubranego w szarą bluzę.

Woźny otworzył drzwi do drugiego pokoju, gdzie sędzia i jego pisarz ujrzeli czcigodnego starca z białymi włosami, w skromnym ubraniu, ozdobionego krzyżem świętego Ludwika, siedzącego przy biurku. Starzec przerwał porównywanie kolorowych kartek, aby się przyjrzeć dwóm przybyłym. Pokój ten, to było skromne biuro, zabezpieczone książkami i korektami. Był tam czarny drewniany stół, gdzie z pewnością pracowała osoba nieobecna w tej chwili.

— Czy pan margrabia d'Espard? — rzekł Popinot.

— Nie, panie — rzekł starzec wstając. — Czego pan sobie od niego życzy? — dodał podchodząc i zdradzając swoim wzięciem wykwent form oraz doskonale wychowanie.

— Chcielibyśmy z nim mówić o sprawach ściśle osobistych — odparł Popinot.

— D'Espard, panowie chcą z tobą mówić — rzekł wówczas nieznajomy, wchodząc do ostatniego pokoju, gdzie margrabia siedział przy kominku i czytał dziennik.

W gabinecie tym znajdował się zniszczony dywan, okna były przybrane szarymi płóciennymi firankami, było tam tylko kilka mahoniowych krzesel, dwa fotele, sekretarzyk, biurko; na kominku tani zegar i dwa stare kandelabry. Starzec wprowadził Popinota i jego pisarza, podał im krzesła jak gdyby był panem domu, a pan d'Espard pozwolił mu się wyręczać. Po wzajemnych ukłonach, w czasie których sędzia przyglądał się rzekomemu wariatowi, margrabia spytał oczywiście, jaki jest cel ich wizyty. Tu Popinot popatrzał na starca i na margrabiego z miną dość znaczącą.

— Sądzę, panie margrabio — odparł — że charakter moich czynności i badanie, które mnie tu sprowadza, żądają, abyśmy byli sami, mimo że jest w intencji prawa, aby w takich wypadkach przesłuchanie miało pewien rozgłos w domu. Jestem sędzią przy trybunale pierwszej instancji departamentu Sekwany, wydelegowanym przez pana prezydenta, aby pana przesłuchać co do faktów wyszczególnionych w prośbie o kuratelę, przedłożonej przez margrabinę d'Espard.

Starzec wyszedł. Kiedy sędzia i jego podsądny znaleźli się sami, pisarz zamknął drzwi i usadowił się bez ceremonii przy biurku, gdzie rozwinął swoje papiery i zabierał się do protokołu. Popinot nie przestał obserwować pana d'Espard; śledził wrażenie, jakie wywrze na nim to oświadczenie, tak okrutne dla człowieka w pełni władz. Margrabia d'Espard, którego twarz była zazwyczaj błada jak twarze blondynów, zaczerwienił się nagle z gniewu, wstrząsnął się lekko, usiadł, położył dziennik na kominku i spuścił oczy. Niebawem odzyskał arystokratyczną godność; przyjrzał się sędziemu, jak gdyby szukając w jego fizjonomii znamion jego charakteru.

— W jaki sposób, panie sędzio, nie uprzedzono mnie o podobnej skardze? — spytał.

— Panie margrabio... ponieważ osobę, nad którą żąda się kurateli, uważa się za niebędącą przy zdrowych zmysłach, powiadomienie o skardze jest zbyteczne. Obowiązkiem trybunału jest przede wszystkim sprawdzić twierdzenia strony.

— Zupełnie słusznie — odparł margrabia. — A więc, panie sędzio, niech mi pan wskaże sposób, w jaki mam się zachować...

— Tylko odpowiadać na moje pytania, nie opuszczając żadnego szczegółu. Choćby przyczyny, które pana skłoniły do postępowania w sposób, który dostarczył pani d'Espard pozor do jej skargi, były najdrażliwsze, niech pan mówi bez obawy. Zbyteczne będzie

zwrócić pańską uwagę, że sąd zna swoje obowiązki i że w podobnych okolicznościach najgłębsza tajemnica...

— Panie sędzio — rzekł margrabia, którego rysy wyrażały szczerzy ból — gdyby z moich wyjaśnień wynikała nagana postępowania pani d'Espard, co by się wówczas stało?

— Trybunał mógłby dać wyraz tej naganie w motywach swego wyroku.

— Czy ta nagana jest warunkowa? Gdybym ułożył się z panem, zanim odpowiem, że nie wyniknie żadna przykrość dla pani d'Espard, w razie jeśli pańskie sprawozdanie będzie dla mnie korzystne, czy trybunał uwzględniłby moją prośbę?

Sędzia popatrzał na margrabiego; ci dwaj ludzie wymienili myśli jednako szlachetne.

— Noel — rzekł sędzia do pisarza — przejdź pan do drugiego pokoju. Kiedy będzie potrzeba, zawołam pana.

— Jeżeli, jak jestem skłonny przypuszczać, zachodzą w tej sprawie nieporozumienia, mogę panu przyrzec, panie margrabio, że na pańską prośbę trybunał postąpi sobie z całą oględnością — podjął sędzia, kiedy pisarz wyszedł. — Jest więc pierwszy fakt, przytoczony przez panią d'Espard, najpoważniejszy ze wszystkich, co do którego poproszę pana o wyjaśnienie — rzekł sędzia po pauzie. Chodzi o trwonienie pańskiego majątku na korzyść niejkiej pani Jeanrenaud, wdowy po przewoźniku, lub raczej na korzyść jej syna, pułkownika, któremu pan wystarał się o stanowisko, dla którego jakoby wyczerpał pan łaskę, jakiej zażywałeś u króla, wobec którego wreszcie posunąłeś swą opiekę tak daleko, iż nastęczyłeś mu korzystne małżeństwo. Podanie pani margrabiny podsuwa myśl, że ta przyjaźń przekracza w swoim oddaniu wszystkie uczucia, nawet te, które moralność potępia...

Nagły rumieniec zabarwił twarz i czoło margrabiego; nabiegły mu nawet łzy do oczu, rzęsy jego zwilgły; następnie, słuszną dumą zdławiła tę wrażliwość, która u mężczyzny uchodzi za słabość.

— W istocie, panie sędzio, odparł margrabia zmienionym głosem, stawia mnie pan w szczególnie trudnym położeniu. Pobudki mego postępowania miały umrzeć wraz ze mną... Aby o nich mówić, musiałbym panu odsłonić tajemne rany, wydać panu honor mojej rodziny, i — rzecz delikatna, którą pan zrozumie — mówić o sobie. Mam nadzieję, panie sędzio, że to wszystko zostanie między nami. Potrafi pan znaleźć w formach sądowych sposób, który by pozwolił wydać wyrok bez poruszania moich zeznań...

— Pod tym względem wszystko jest możliwe, panie margrabio.

— Zatem, panie sędzio — rzekł pan d'Espard — w jakiś czas po moim małżeństwie żona moja poczyniła tak wielkie wydatki, że musiałem uciec się do pożyczki. Wie pan, jakie było położenie szlachty w czasie Rewolucji. Nie wolno mi było mieć intendenta ani pełnomocnika. Większość naszych dokumentów ojciec mój przewiózł z Languedoc, z Prowansji lub z Comtat do Paryża, w obawie, dosyć usprawiedliwionej, dochodzeń, jakie archiwa rodzinne i w ogóle to, co nazywano wówczas pergaminami arystokratów ściągali na ich właścicieli. Nazywamy się z rodu Nègrepelisse. D'Espard, to jest tytuł, nabyty za Henryka IV drogą związku, który nam dał majątki i tytuły domu d'Espard pod warunkiem, że pomieścimy nad naszym herbem tarczę d'Espardów, starej rodziny bearneńskiej, spokrewnionej z domem d'Albert po kądzieli i mającej *Des partem leonis*<sup>19</sup> za dewizę. W dobie owego związku straciliśmy Nègrepelisse, małe miasteczko równie sławne w czasie wojen religijnych, jak sławnym był wówczas przodek mój noszący to nazwisko. Kapitana de Nègrepelisse zrujnował pożar jego majątków, protestanci bowiem nie oszczędzali przyjaciela Montluca. Korona okazała się niesprawiedliwa wobec pana de Nègrepelisse; nie dostał ani buławy marszałkowskiej, ani zarządu prowincji, ani odszkodowania: król Karol IX, który go kochał, umarł, nie zdoławszy go nagrodzić; Henryk IV zapewnił mu małżeństwo z panną d'Espard i wzbogacił go dobrami tego domu; ale wszystkie dobra Nègrepelisse'ów przeszły już w ręce wierzycieli. Mój praszczur, margrabia d'Espard, znalazł się, jak ja, dość młodo głową rodziny wskutek śmierci swego ojca, który, strwoniwszy majątki żony, zostawił mu jedynie substytuowane ziemie d'Espardów, ale obciążone wianem wdowim. Młody margrabia d'Espard był w tym cięższych warunkach, ile że piastował szarżę dworską. Szczególnie lubiany przez Ludwika XIV, znalazł w jego łasce drogę do fortuny. Tutaj, panie sędzio, padła na naszą tarczę herbową plama

<sup>19</sup>*des partem leonis* (łac.) — oddaj lwią część. [przypis edytorski]

nikomu nieznaną, okropną, plamą z błota i krwi, którą ja staram się zmyć. Odkryłem tę tajemnicę w aktach dotyczących dóbr Nègrepelisse i w plikach korespondencji.

W tej uroczystej chwili margrabia nie jękał się mówiąc, słowa jego były wolne od zwykłych kołowań; każdy mógł zauważyć, że osoby, które w zwykłym toku dotknięte są tymi dwiema wadami, tracą je w chwili podniecenia.

— Przyszło odwołanie edyktu nantejskiego<sup>20</sup> — podjął. — Nie wie pan może, że dla wielu faworytów była to sposobność do fortuny. Ludwik XIV darował wielu magnatom dworu ziemie skonfiskowane protestanckim rodzinom, które nie dopełniły jakichś formalności przy sprzedaży swoich dóbr. Wielu faworyzowanych puściło się, jak mówiono wówczas, na polowanie na protestantów. Nabyłem pewności, że obecny majątek dwóch książęcych rodzin powstał z ziem skonfiskowanych nieszczęśliwym kupcom. Nie będę tłumaczył panu, prawnikowi, sztuczek użytych, aby zastawić pułapki uciekającym, którzy unosili z sobą wielkie fortuny: niech panu wystarczy wiadomość, że dobra Nègrepelisse, złożone z dwudziestu dwóch wiosek i praw nad miastem, że dobra Gravenges, które niegdyś należały do nas, znajdowały się w rękach rodziny protestanckiej. Mój dziadek doszedł do nich drogą darowizny z ręki Ludwika XIV. Donacja ta opierała się na aktach nacechowanych straszliwą niesprawiedliwością. Właściciel tych dwu majątków, sądząc, że będzie mógł wrócić do Francji, uczynił fikcyjną sprzedaż i udał się do Szwajcarii, do rodziny, którą tam wysłał naprzód. Chciał z pewnością skorzystać ze wszystkich terminów pozostawionych dekretem, aby uregulować swoje interesy. Człowieka tego zatrzymano na rozkaz gubernatora; posiadacz fideikomisu wyznał prawdę, biednego kupca powieszono, ojciec mój otrzymał oba majątki. Rad byłbym nie znać udziału, jaki przodek mój miał w tej intrydze; ale gubernator był jego wujem, i przeczytałem na nieszczęście list, w którym prosi go, aby się zwrócił do Deodata, imię umówione między dworakami, gdy mówili o królu. Panuje w tym liście, gdy mowa o ofercie, żartobliwy ton, który mnie przejął dreszczem. Wreszcie, panie sędzio, sumy wysłane przez rodzinę zbiegów, aby okupić życie biednego człowieka, utonęły w rękach gubernatora, który mimo to uśmiercił kupca.

Margrabia d'Espard zatrzymał się, jakby te wspomnienia były jeszcze dla niego zbyt ciężkie.

— Ten nieszczęśliwy nazywał się Jeanrenaud — podjął. — Nazwisko to powinno panu wytłumaczyć moje postępowanie. Nie mogłem bez najżywszego bólu myśleć o tajemnej hańbie, jaka ciążyła na mojej rodzinie. Ten majątek pozwolił memu dziadowi zaślubić pannę de Navarreins-Lansac, dziedziczkę młodszej linii, o wiele bogatszej wówczas niż starsza linia Navarreins. Mój ojciec stał się wówczas jednym z najbogatszych panów w kraju. Mógł zaślubić moją matkę, pannę de Grandlieu, z młodszej linii. Mimo iż źle nabyte, dobra te dziwnie nam wyszły na szczęście. Postanowiwszy rychło wynagrodzić zło, napisałem do Szwajcarii i nie miałem spokoju, dopóki nie znalazłem śladu spadkobierców protestanta. Dowiedziałem się wreszcie, iż Jeanrenaudowie, doprowadzeni do ostatecznej nędzy, opuścili Fryburg i wrócili do Francji. Wreszcie odkryłem w imię panu Jeanrenaud, prostym poruczniku kawalerii za Bonapartego, spadkobiercę tej nieszczęśliwej rodziny. W moich oczach, proszę pana, prawo tych Jeanrenaud było jasne. Dla faktu przedawnienia, czyż nie trzeba było, aby grabież mogła być zaczepiona? Do jakiej władzy wychodźcy mieli się uciec? Ich trybunał był w niebie lub raczej, proszę pana, trybunał był tutaj — rzekł margrabia, uderzając się w serce. — Nie chciałem, aby moje dzieci mogły myśleć o mnie to, co ja pomyślałem o moim ojcu i o moich przodkach; chciałem im przekazać ojcowiznę i herb bez zmazy, nie chciałem, aby szlachectwo było kłamstwem w mojej osobie. Wreszcie, politycznie biorąc, czy emigranci, którzy protestują przeciw konfiskatom rewolucyjnym, powinni sami zachować majątki będące owocem konfiskat uzyskanych przez zbrodnie? Natknąłem się u pana Jeanrenaud i jego matki na najsurowszą uczciwość: gdyby ich słuchać, pomyślałby ktoś, że to oni mnie obdziera-

<sup>20</sup>edykt nantejski — akt prawny wydany w 1598 r. w Nantes przez Henryka IV, kończący trzydziestoletni okres wojen religijnych we Francji między protestantami (hugenotami) i katolikami; edykt ustanawiał wolność wyznania i równouprawnienie obu wyznań (swoboda kultu protestantów nie obowiązywała jedynie w Paryżu), przywracał protestantom prawa polityczne (sprawowanie urzędów) i ekonomiczne; zniesienie edyktu nantejskiego przez Ludwika XIV w 1685 r. (edykt z Fontainebleau), zaowocowało szeregiem represji oraz masową emigracją protestantów z Francji (głównie do Szwajcarii, Prus, Holandii i Anglii). [przypis edytorski]



ją. Mimo moich nalegań, przyjęli jedynie tę wartość, jaką miały ich dobra w dniu, gdy moja rodzina otrzymała je od króla. Ustaliliśmy wspólnie tę sumę na milion sto tysięcy franków, których spłatę zostawili do mojej możliwości, bez procentów. Aby to osiągnąć, musiałem się wyzuć z moich dochodów przez długi czas. Tutaj, proszę pana, zaczęła się strata niektórych iluzji, jakie sobie czyniłem co do charakteru pani d'Espard. Kiedy jej zaproponowałem, aby opuścić Paryż i udać się na prowincję, gdzie z połową jej dochodów moglibyśmy żyć przyzwoicie i osiągnąć rychłej restytucję (o której jej powiedziałem, nie zdradzając wszakże całej doniosłości faktów), potraktowała mnie jak wariata. Poznałem wówczas prawdziwy charakter mojej żony: byłaby pochwaliła bez skrępowań postąpienie mego dziada i byłaby sobie drwiła z hugonotów! Przerażony jej chłodem, jej obojętnością dla dzieci, które mi oddała bez żalu, postanowiłem jej zostawić jej majątek, po spłaceniu wspólnych długów. Nie jej zresztą rzeczą było płacić za moje głupstwa, rzekła. Nie mając dość środków na to, aby żyć i aby nastarczyć na wychowanie dzieci, postanowiłem wychowywać je sam i uczynić z nich dzielnych ludzi i szlachciców. Lokując moje dochody w reńcie państwowej, zdołałem się wypłacić o wiele wcześniej, niż myślałem, skorzystałem bowiem z korzyści, jakie dała szybka wyżka renty. Zachowując cztery tysiące franków dla synów i dla siebie, mógłbym być płacić jedynie sześćdziesiąt tysięcy franków, co byłoby wymagało niemal osiemnastu lat, aby dopełnić dzieła oczyszczenia, podczas gdy niedawno spłaciłem resztę miliona stu tysięcy, które byłem winien. Tak więc, mam to szczęście, iż dokonałem tej restytucji, nie wyrządzając żadnej szkody moim dzieciom. Oto, panie sędzio, powód sum oddawanych pani Jeanrenaud i jej synowi.

— Zatem — rzekł sędzia, hamując wzruszenie, jakim przejęła go ta opowieść — pani margrabina znała pobudki pańskiego usunięcia się od świata?

— Tak, panie.

Popinot uczynił wymowny gest, wstał nagle i otworzył drzwi.

— Noel, możesz sobie iść — rzekł do pisarza. — Panie margrabio — rzekł sędzia — mimo że to, co pan mi powiedział, wystarcza, aby mnie oświecić, pragnąłbym pana wysłuchać w przedmiocie innych faktów przytoczonych w podaniu. Wszak prowadzi pan tutaj przedsiębiorstwo handlowe nieleżące w obyczaju ludzi pańskiej sfery?

— Nie możemy mówić o tej sprawie tutaj — rzekł margrabia, zapraszając gestem sędziego, aby wraz z nim wyszedł. — Nouvion — rzekł, zwracając się do starca — idę do siebie, chłopcy zaraz wrócą, zostaniesz z nami na obiedzie.

— Panie margrabio — rzekł Popinot na schodach — więc to nie jest pańskie mieszkanie?

— Nie, panie. Wynająłem te pokoje, aby w nich pomieścić biura tego przedsiębiorstwa. Widzi pan — dodał, pokazując afisz — ta historia wychodzi pod nazwiskiem jednego z najszanowniejszych księgarzy w Paryżu, nie pod moim.

Margrabia wprowadził sędziego na parter, mówiąc:

— Oto moje mieszkanie.

Popinot uczył mimowolne wzruszenie pod wpływem poezji raczej znalezionej niż szukanej, która oddychała pod tym stropem. Czas był wspaniały, okna były otwarte, powietrze przynosiło z ogrodu wonie ziół, promienie słońca ożywiały i rozweselały boazerie nieco ciemne w tonie. Na ten widok, Popinot uznał, że wariat nie byłby zdolny stworzyć miłej harmonii, którą odczuwał w tej chwili.

„Zdałoby mi się podobne mieszkanie” — myślał. — Czy pan rychło opuści tę dzielnicę? — spytał głośno.

— Mam nadzieję — odparł margrabia — ale zaczekam, aż mój młodszy syn ukończy studia, aż charakter moich synów będzie zupełnie wyrobiony, zanim ich wprowadzę w świat i bliżej matki. Zresztą, dawszy im rzetelne wykształcenie, chcę je uzupełnić podróżami po Europie, pokazać im ludzi i świat, i przyzwycząić ich do mówienia językami, których się nauczyli. Proszę pana — rzekł, sadzając sędziego w salonie — nie mogłem panu mówić o wydawnictwie chińskim w obecności starego przyjaciela mojej rodziny, hrabiego de Nouvion, który wrócił z emigracji bez grosza i z którym podjąłem ten interes nie tyle dla siebie, ile dla niego. Nie zwierając mu pobudek mego usunięcia się od świata, powiedziałem mu, że jestem zrujnowany tak jak on, ale że mam jeszcze na tyle, aby podjąć przedsiębiorstwo, w którym mógłby z pożytkiem pracować. Moim preceptorem był ksiądz Grosier, którego, na moje polecenie, Karol X mianował swoim bibliotekarzem

w bibliotece w Arsenale, powierzonej mu, gdy był jeszcze bratem króla. Książd Grosier posiadał gruntowną znajomość Chin, ich zwyczajów i obyczajów; uczynił mnie swoim spadkobiercą w wieku, w którym trudno jest nie zapalić się do tego, czego człowiek się uczy. Mając dwadzieścia pięć lat, umiałem po chińsku, i wyznaję, że nigdy nie mogłem się obronić uczuciu bezgranicznego podziwu dla tego ludu, który podbił swoich zdobywców, którego roczniki sięgają niewątpliwie epoki wiele starszej od czasów mitologicznych lub biblijnych; który, przez swoje niewzruszone instytucje utrzymał całość terytorium, którego pomniki są olbrzymie, którego rząd jest doskonały, bezpieczny od rewolucji; który uznał idealne piękno jako zasadę bezpłodnej sztuki, który doprowadził zbytek i przemysł tak wysoko, że nie możemy ich przewyższyć w żadnej mierze, podczas gdy on nam dorównywa w tym, w czym my się uważamy za wyższych. Ale, proszę pana, jeżeli zdarza mi się często żartować, gdy porównywan z Chinami położenie państw europejskich, nie jestem Chińczykiem, jestem szlachcicem francuskim. Gdyby pan miał wątpliwości co do finansów tego przedsięwzięcia, mogę panu dowiedzieć, że liczymy dwa tysiące pięćset subskrybentów na ten pomnik literatury, ikonografii, statystyki i religii, którego doniosłość powszechnie oceniono. Nasi subskrybenci należą do wszystkich narodów Europy: we Francji mamy ich tylko tysiąc dwustu. Nasze dzieło będzie kosztowało około trzystu franków, a hrabia de Nouvion znajdzie w nim sześć do siedmiu tysięcy renty, bo jego dobrobyt był ukrytą pobudką tego przedsięwzięcia. Co do mnie, mam na widoku jedynie możliwość zapewnienia moim dzieciom trochy przyjemności. Sto tysięcy franków, które zarobiłem bardzo mimo woli, opłacą ich lekcje fechtunku, ich konie, tualetę, teatr, dodatkowych nauczycieli, płótna, które zasmarują, książki, które chcą sobie kupić, słowem, wszystkie te drobne zachcenia, które rodzicom tak miło jest móc zaspakajać. Gdyby mi było trzeba odmawiać tych uciech moim biednym dzieciom tak dzielnym, tak wytrwałym w pracy, ofiara, jaką czynię dla naszego nazwiska byłaby mi podwójnie ciężką. W istocie, panie sędzio, dwanaście lat, na które usunąłem się od świata, aby wychować moje dzieci, stały się przyczyną, że zupełnie zapomniano o mnie na dworze. Wycofałem się z kariery politycznej, straciłem całą moją historyczną fortunę, cały nowy blask, który mogłem przekazać dzieciom; ale nasz dom nic na tym nie straci, moi synowie będą wybitnymi ludźmi. O ile mnie minęło parostwo, oni zdobędą je, szlachetnie poświęcając się sprawom swego kraju i oddadzą mu usługi, których się nie zapomina. Oczyszczając przeszłość naszego domu, zapewniałem mu zarazem chlubną przyszłość: czyż to nie jest piękne zadanie, mimo że spełnione tajemnie i bez sławy? Czy pan pragnie jeszcze jakich wyjaśnień?

W tej chwili tętent paru koni rozległ się w dziedzińcu.

— Oto oni — rzekł margrabia.

Niebawem dwaj młodzi ludzie, w stroju prostym i wykwinnym zarazem, weszli do salonu, w butach, w ostrogach, w rękawiczkach, machając wesoło szpicróżgą. Ożywione ich twarze oddychały świeżością powietrza, tryskały zdrowiem. Obaj przyszli uściskać rękę ojca, wymienili z nim przyjacielskie spojrzenie pełne wzajemnej czułości i skłonili się zimno sędziemu. Popinot uznał za zupełnie zbyteczne pytać margrabiego o stosunek z dziećmi.

— Dobrzeście się bawili? — spytał chłopców margrabia.

— Tak, ojczu. Od pierwszego razu zwałem sześć lalek w dwunastu strzałach — rzekł Kamil.

— Gdzieście byli na spacerze?

— W lasku, widzieliśmy mamę.

— Czy się zatrzymała?

— Jechaliśmy tak szybko, że nas pewno nie widziała — odparł młody hrabia.

— Czemuście nie zblżyli się sami?

— Uważałem, ojczu, że mama nie bardzo lubi, abyśmy się zblżyli do niej publicznie — rzekł Klemens po cichu. — Jesteśmy za duzi.

Sędzia miał dość bystry słuch, aby dosłyszeć to zdanie, które zachmurzyło nieco czoło margrabiego. Popinot z przyjemnością patrzył na obraz, jaki przedstawiał ojciec wraz z dziećmi. Oczy jego z niejakim rozrzewnieniem spoczęły na twarzy pana d'Espard, którego rysy, zachowanie i wzięcie przedstawiały uczciwość w jej najpiękniejszej postaci, uczciwość inteligentną i rycerską, uczciwość w całej jej krasie.

— Wi... widzi pan, panie sędzio — rzekł margrabia, wracając do zająkiwania — widzi pan, że Sprawiedliwość może tu wejść w każdej porze, tak, w każdej porze może tu wejść Sprawiedliwość. Jeżeli kto jest wariat, jeżeli kto jest wariat, to chyba te dzieci, które po trosze wariują za swoim ojcem, i ojciec, który bardzo wariuje za swymi dziećmi: ale to jest dobre wariactwo.

W tej chwili głos pani Jeanrenaud rozległ się w przedpokoju; zacna kobieta wpadła do salonu mimo przedłożeń lokaja.

— Ja nie chodzę manowcami — krzychała. — Tak, panie margrabio — rzekła, kłaniając się wkoło — muszę z panem pomówić, w tej chwili. Dalibóg, za późno przyszedłam, skoro tu już jest pan sędzia kryminalny.

— Kryminalny! — wykrzyknęli dwaj chłopcy.

— To się tłumaczy, że pana nie zastałam w biurze, kiedy pan jest tutaj. A ba, sąd zawsze się znajdzie, kiedy chodzi o to, aby zrobić co złego. Przychodzę, panie margrabio, powiedzieć panu, żeśmy się porozumieli z synem, aby panu wszystko oddać, skoro tu chodzi o pański honor. Mój syn i ja wolimy raczej wszystko oddać, niż panu sprawić najłżejsze zmartwienie. Doprawdy, trzeba być głupim jak garnek bez ucha, żebyście chciało pana brać pod kuratelę...

— Pod kuratelę? Ojca? — wykrzyknęli dwaj chłopcy, przytulając się do margrabięgo.  
— Co się stało?

— Cyt, pani — rzekł Popinot.

— Moje dzieci, zostawcie nas — rzekł margrabia.

Dwaj młodzi ludzie udali się do ogrodu, nie czyniąc najmniejszej uwagi, ale pełni niepokoju.

— Pani — rzekł sędzia — sumy, które pani wręczył pan margrabia, należały się pani słusznie, mimo że je dano pani na zasadzie uczciwości bardzo daleko idącej. Gdyby ludzie posiadający dobra skonfiskowane w jakikolwiek sposób, nawet niegodziwy, byli po stu pięćdziesięciu latach zobowiązani do restytucji, niewiele by zostało we Francji prawych majątków. Dobra Jakuba Coeur wzbogaciły dwadzieścia pańskich rodów; nieprawne konfiskaty zarządzane przez Anglików na rzecz swoich adherentów, kiedy Anglik posiadał część Francji, wzbogaciły wiele książęcych domów. Nasze prawodawstwo pozwała panu margrabiemu rozrządzać swoim dochodem swobodnie bez możliwości oskarżenia go o marnotrawstwo. *Kuratela* opiera się na zupełnym braku rozsądku w czyichś postępkach; ale tutaj, przyczyna restytucji, której pan dokonał, płynie z pobudek równie świętych jak zaszczytnych. Toteż może pani wszystko zachować bez wyrzutów i pozwolić światu źle tłumaczyć ten piękny postępek. W Paryżu najczystsza cnota jest przedmiotem najbrudniejszych potwarzy. Smutne to, że obecny stan naszego społeczeństwa czyni postępek pana margrabięgo wzniosłym. Pragnąłbym, dla czci naszego kraju, aby podobne czyny uważano za zupełnie proste; ale obyczaje są takie, że porównując z tym, co widzę, muszę uznać w panu d'Espard człowieka, któremu należałoby przyznać wieniec zamiast mu grozić kuratelą. Przez cały ciąg mego sądowniczego życia nie słyszałem ani nie widziałem nic, co by mnie bardziej wzruszyło niż to, com tu widział i słyszał. Ale nie dziw, że się spotyka cnotę w jej najpiękniejszej postaci, wówczas gdy ją wprowadzą w czyn ludzie należący do najwyższej klasy. Po tym com powiedział, mam nadzieję, panie margrabio, że pan będzie pewien mego milczenia i że nie będzie pan miał żadnych obaw co do wyroku, jaki zapadnie, o ile przyjdzie do wyroku.

— Kiedy tak, to doskonale — rzekła pani Jeanrenaud — to się nazywa sędzia! Wie pan, drogi panie, gdybym nie była taka brzydka, uściskałabym pana za te złociutkie słowa.

Margrabia podał rękę Popinotowi, Popinot zaś uderzył w nią lekko swoją, obejmując tego nieznanego bohatera rozumnym i serdecznym spojrzeniem, na które margrabia odpowiedział miłym uśmiechem. Te dwie natury tak pełne, tak bogate, jedna mieszczańska i boska, druga szlachecka i wzniosła, dostroiły się do wspólnego tonu łagodnie, bez wstrząsu, bez błysku namiętności, tak jakby się złąły dwa czyste światła. Ojciec całej dzielnicy czuł się godny uściskać rękę tego człowieka po dwakroć szlachetnego, margrabia zaś uczuł w sercu drgnienie, które mu mówiło, że ręka sędziego jest z tych, z których płyną skarby niewyczerpanych dobrodziejstw.

— Panie margrabio — dodał Popinot, kłaniając się — szczęśliwy jestem, mogąc panu powiedzieć, iż od pierwszych słów tego przesłuchania, osądziłem, że mój pisarz jest zbyt cenny.

Następnie zbliżył się do margrabiego, pociągnął go ku oknu i rzekł:

— Czas, aby pan wrócił do domu; zdaje mi się, że w tej sprawie pani margrabina uległa wpływowi, które pan powinien natychmiast postarać się zwalczyć.

Popinot wyszedł, odwrócił się kilka razy w dziedzińcu i na ulicy, wzruszony wspomnieniem tej sceny. Należała ona do tych, które wrażają się w pamięć, aby rozkwitnąć w pewnych godzinach, gdy dusza szuka pociechy.

„To mieszkanie bardzo by mi się nadało — powiadał sobie, dochodząc do domu. — Jeżeli pan d’Espard je opuści, wezmę je po nim”.

Nazajutrz, około dziesiątej rano, Popinot, który w wilię ułożył swój raport, szedł do sądu w zamiarze wymierzenia rychłej sprawiedliwości. W chwili gdy wchodził do szatni, aby wziąć togię i włożyć rabat, woźny oznajmił mu, że prezydent trybunału prosi sędziego, aby zaszedł do jego gabinetu.

— Dzień dobry, mój drogi Popinot — rzekł prezydent, pociągając go do okna.

— Panie prezydencie, czy chodzi o coś poważnego?

— Głupstwo — rzekł prezydent. — Minister, z którym miałem zaszczyt jeść obiad wczoraj, wziął mnie na bok. Dowiedział się, że pan był na herbacie u pani d’Espard, w sprawie, którą panu powierzono. Dał mi do zrozumienia, że byłoby właściwiej, gdybym oddał innemu sędziemu tę sprawę...

— Och, panie prezydencie, mogę zaręczyć, że wyszedłem od pani d’Espard w chwili, gdy wniesiono herbatę; zresztą moje sumienie...

— Tak, tak — rzekł prezydent — cały trybunał, obie Izby, cały sąd znają pana. Nie będę panu powtarzał tego, co powiedziałem o panu Jego Ekscelencji, ale wie pan: *zona Cezara nie powinna być nawet podejrzewana*. Toteż, nie róbmy z tego głupstwa kwestii dyscypliny, ale jedynie kwestię faktu. Mówiąc między nami, chodzi nie tyle o pana, co o trybunał.

— Ależ, panie prezydencie, gdyby pan znał sprawę — rzekł sędzia, próbując wydobyć z kieszeni swój raport.

— Jestem z góry przekonany, że pan zachowałeś w tej sprawie najściślejszą niezawisłość. I ja sam, na prowincji, jako prosty sędzia, wypilem nieraz więcej niż szklankę herbaty z ludźmi, których miałem sądzić; ale wystarczy, że pan minister o tym wspomniał, że mogliby mówić o tym, aby trybunał wołał uniknąć dyskusji na ten temat. Wszelki konflikt z opinią zawsze jest niebezpieczny dla tego rodzaju instytucji, nawet kiedy ma słuszność za sobą, ponieważ broń jest nierówna. Dzienniki mogą wszystko mówić, wszystko przypuszczać, a nasza godność wzbrania nam wszystkiego, nawet odpowiedzi. Zresztą, porozumiałem się już z pańskim prezydentem; sprawę, której pan się zrzeknie, powierzono panu Camusot. Rzecz załatwiona niejako w rodzinie. Słowem, proszę pana o to zrzeczenie się jako o osobistą przysługę, a w zamian otrzyma pan krzyż Legii, który panu się od tak dawna należy; biorę to na siebie.

Widząc pana Camusot<sup>21</sup>, świeżo powołanego z prowincji do Paryża, jak się przysuwa, kłaniając się sędziemu i prezydentowi, Popinot nie mógł się wstrzymać od ironicznego uśmiechu. Ten młody człowiek, wypęły blondyn, wyglądał na człowieka gotowego powiesić lub odciąć ze sznurka, na życzenie możnych tego świata, zarówno niewinnego jak winnego. Popinot wyszedł, skłoniwszy się prezydentowi i sędziemu, nie racząc nawet poruszyć kłamiwego podejrzenia, jakie nań rzucono.

*Paryż, luty 1836.*

<sup>21</sup>pan Camusot — [patrz:] *Gabinet starożytności, Blaski i nędze życia kurtyzany, Kuzyn Pons*. [przypis tłumacza]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/balzac-komedia-ludzka-kuratela>

Tekst opracowany na podstawie: Honoré de Balzac, Komedia ludzka. Kuratela; Facino Cane; Sarrasine; Piotr Grasson; Z. Marcas; Granatka; Poronienie, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Biblioteka Boya, Drukarnia Zakładów Wydawniczych M. Arct, S.A., Warszawa [1931].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Łukasza Jachowicza.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Publikację wsparli i wsparły: Roman Jaskulski, Piotr Konieczny, sponsor, aembe, WP, Marta Choromańska.

ISBN 978-83-288-0067-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.